Nr. 2. Lwów, Niedziela dnia 9. Września 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

NA OTWARCIE WYSTAWY KRAJOWEJ.

Nareszcie, dzięki ofiarności kraju i niezmordowanej energii ludzi dobrej woli, wystawa krajowa w oznaczonym terminie 6go września otwartą została. Jeżeli to i owo nie jest jeszcze w należytym porządku, to spodziewamy się za kilka dni wszystkie działy należycie skompletowanymi zostaną. Surowi krytycy niech mają to na uwadze, że tego rodzaju opóźnienie przy każdej wystawie jest prawie nie do uniknienia.

Rolnictwo i przemysł galicyjski, jak młode dziewczę w dzień świąteczny, włożyły na siebie najlepsze szaty i przyszły do Lwowa, aby się pokazać oczekującej ją publiczności. Sądzimy nie bez pewnej dumy, że popis ten wyjdzie na ich korzyść, że mało się znajdzie takich, którzyby pamiętając ostatnią wystawę krajową, znakomitego w pracy naszej nie dojrzeli postępu. Witamy zatem z gorącem sercem i synowską dla tej ziemi miłością te bogate plony naszej działalności, widok których wlewa otuchę, że pomimo ciężkich warunków bytu idziemy naprzód.

Gdzie praca narodu wciąż kroczy naprzód drogą postępu, gdzie wielki i mały chcą rywalizować z sobą na tem jedynie polu użyteczności publicznej, tam widocznie tętni życie z młodzieńczą siłą, tam duma narodowa podnosi głowę, a szlachetna duma ta jest najlepszym wyrazem rzetelnego patryotyzmu.

Pojmując w tem znaczeniu obecną wystawę jako akt uroczysty dla całego kraju, jesteśmy przekonani, że czytelnicy nasi podzielą z nami to radośne wzruszenie i przyjdą popatrzeć na popis swych własnych synów i przyklasną serdecznie, gdy ten egzamin narodowy nie zawiedzie ich oczekiwań.

Lecz obok tych niekłamanych uniesień, stańmy się odrazu dojrzałymi mężami, i z kredą w jednej ręce, a cyrklem w drugiej, zróbmy poważny rachunek sumienia: cośmy dotąd zrobili, a co jeszcze pozostaje nam do roboty. Nie łudźmy się! Kraj nasz jakkolwiek bogaty z natury, dotąd jeszcze nie może się wydobyć ze ściskających go kleszczy przewagi handlowo-przemysłowej innych narodów. Zrobiliśmy wiele, lecz daleko jeszcze więcej pozostaje do zrobienia. Mamy tysiące rąk, które dla braku odpowiedniego zajęcia muszą rok rocznie emigrować w inne strony dla szukania zarobku, gdy tymczasem cudze ręce przygotowują dla nas tyle zbytkownych i niezbytkownych przedmiotów, że gdyby część ich tylko wyrabiała się w kraju, już ci ludzie nie potrzebowaliby szukać zajęcia gdzieindziej.

Spojrzyjcie na te wyroby rękodzielnicze mieszkańców wsi i małych miasteczek naszych, ile w nich tkwi zarodów poczucia estetycznego i zdolności naturalnych poczciwych pracowników. Nie wiele potrzeba, aby w krótkim czasie z trochą nauki, z trochą zachęty i opieki starszych braci, stali się biegłymi mistrzami w swoich zawodach, i nietylko nam, ale i obcym dostarczali dziś za drogie pieniądze sprowadzanych z obczyzny wyrobów. Co kilka lat, przy najmniejszej klęsce nieurodzaju, głód trapi tych biedaków, a kraj musi im rzucać jałmużnę w postaci zapomogi. Czyż nie godziłoby się raz przecie pomyśleć na seryo o losie tej klasy braci naszych, dać im pracę w rękę, poprzeć tę pracę zaopatrując potrzeby swoje krajową produkcyą, wpływać na udoskonalenie tej produkcyi, prowadzić, zachęcać i tym sposobem stworzyć nasz własny przemysł narodowy. Usiłowania takie, nawet z pewnemi ofiarami z naszej strony, będą prawdziwą zasługą obywatelską, oznaką rzetelnego patryotyzmu.

Darujcie czytelnicy, że przedewszystkiem zwróciliśmy uwagę na maluczkich, polecając ich waszym względom, lecz sprawę tę uważamy za najżywotniejszą kwestyę w Galicyi — inne klasy współpracowników narodowych na polu rolnictwa i większego przemysłu same za siebie mówić potrafią.

Różne stowarzyszenia przemysłowe, nawet niektóre miasta nasze, na obecnym popisie już postarały się wystąpić samodzielnie skupiwszy wyroby swoje w oddzielnych pawilonach, więksi właściciele ziemscy również nie usunęli się na stronę, przyszli razem z innymi pokazać rezultaty swej pracy, rezultaty więcej racyonalne na szerszą skalę rozwiniętej działalności. Dobry to przykład równości obywatelskiej, tego szlachetnego poczucia miłości synowskiej dla rodzinnego kraju. Szczęść Boże zatem na tej drodze solidarności naszej: tylko w jednej gromadzce trzymając się wspólnie za ręce, możemy kroczyć naprzód w ścieśnionym szeregu i nie dbać, że tam jakieś chmury zbierają się nad głowami naszemi. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ — niech będzie hasłem naszem, a podźwigniemy kraj nasz, zapewnimy powszechny dobrobyt, który zawsze był i jest podstawą wszelkiej samodzielności moralnej i politycznej.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce po przybyciu swem w Lubelskie był on, jak wspomnieliśmy, w Mielsztyńcach, ale odwiedziny te wcale go nie zaspokoiły. Pojechał potem raz drugi i zdawało mu się, że został przyjęty zimniej jeszcze. Nie zraził się tem, ale czuł że mu nie wypadało tam wciskać się znowu bez powodu; szło tedy o znalezienie takiego, aby się wyszukanym nie zdawał.

Było to jakoś na wiosnę, zatykano łąki. Repeszko, który sam wszędzie być musiał, a majątku jeszcze nie znał tak drobnostkowo, poszedł na granicę od Mielsztyniec, dla dopilnowania sprawy.

Na miejscu znalazł kilku ludzi swoich i mielsztynieckich; nie kłócili się oni ale żwawo spierali. Pomiędzy dwoma wzgórzami obrosłemi lasem dębowym, ciągnęła się piękna łączka, a środkiem jej biegł sobie już uspokojony po wiosennych powodziach strumyczek. Był to zwykły ruczajek, ledwie wi-

doczny śród bujnych traw i kwiatów, przekradający się za swymi interesami do rzeki, tak, że go tam ledwie dostrzedz było można. Nikomu nie wadził ani pomagał, czasem tylko w nim pastuszki nogi moczyli, a zające pić przychodziły w posuchę.

Ale ten strumyczek, nikły i nie pozorny, na wczesną wiosnę pozwalał sobie czasem takich wybryków i swywoli, że mógł poważnić sąsiadów, stanowił bowiem granicę między Mielsztyńcami a Studzienicą, a spełniając tak wielką misyę społeczną, nie zachowywał się z przyzwoitą obowiązkowi swemu powagą. Miał kaprysy niewytłumaczone, — gdy mu się niewiedzieć dlaczego wygodne, rozmyte, żwirem wysypane łóżeczko sprzykrzyło, rył sobie nowe, łąkę nanosił piaskiem, psuł trawy i zjawiał się niespodzianie tam, gdzie wcale prawa nie miał gościć. urywając to mielsztyniecką łąkę, to studzienniecką. Gdyby ona była włościańska, byliby to tam ludzie sobie jakoś poradzili, ale ekonomowie obu folwarków, aby sporów nie mnożyć, z dawien dawna zgodzili się na to, ażeby kosić po strumień, jakkolwiek on sobie w którym roku płynął.

Tej wiosny właśnie ruczaj pokrzywdził bardzo nowego dziedzica i widać przez ciekawość zbliżył się ku jego stronie, tak iż dobry kawał łąki oddał Mielsztyńcom. Właśnie go zatykano z tamtego boku, gdy ludzie studziennicy oparli się temu, wskazując stare łożysko ruczaju, jako prawowierną granicę obu dominiów. Na ten spór nadszedł pan Repeszko z uśmiechem i najserdeczniejszemi pozdrowieniami włościan, którzy mu się do stóp kłaniali.

— Dzieci moje najukochańsze — rzekł, coś-bo to ja, rybki moje złote, nie bardzo rozumiem. Jakże to może być, żeby taką granicę niepewną cierpiano? Czy uchowaj Boże nie ma w tem obrazy Bożej i jakiego oszustwa? Nie idzie mnie tam, serduszka wy moje, o ten kawałeczek łąki, ale o sprawiedliwość świętą, o spokój miły i o zgodę z najdroższymi sąsiadami....

Gdy włościanie z obu stron tłumaczyć mu poczęli, głową kiwał i nie chciał rozumieć.

— Wszystko dobrze, dzieci moje najdroższe, dodał w końcu, ale to tak nie może być. Ja majątek kupiłem, upewniony będąc o stałych granicach. Trzeba będzie pojechać do Mielsztyniec i po Bożemu, po sąsiedzku załatwić sprawę raz na zawsze...

Pokłonił się włościanom bardzo grzecznie, nisko, zatarł ręce i odjechał. Tego mu tylko było potrzeba.

Nazajutrz wyruszył parą szkap dryndulką do Mielsztyniec.

Ponieważ i nas tam ciągnie, pojedziemy za panem Repeszką.

Przebywszy las dębowy, który dzielił Studziennicę od Mielsztyniec, ujrzał pan Nikodem w pośrodku rozległej równiny, którą w dali opasywały wzgórza zagajone, ponad rzeką i łąkami zielonemi rozłożone miasteczko, a nad niem panującą wieżę kościoła starożytnego, jak to z budowy wnosić było można. Mieścina, mimo że niezbyt wielka, niegdyś była obmurowana w części i opasana wałem; z tej dawnej fortyfikacyi pozostały jej dwie dosyć poważne bramy u wjazdu. Oprócz tego rynek zdobił ratusz z wieżyczką, otoczony sklepami, wcale nieszpetny i dobrze utrzymany. Wielka aleja lipowa, cienista, od bramy miejskiej zwanej Zamkową, (bo druga nosiła imię Lubelskiej), wiodła do zamczyska.

Wznosiło się ono na wzgórzu niezbyt wysokiem, fosami objętem, w których już oddawna wody nie było i stare bardzo porastały drzewa. Z murów gdzieniegdzie część kurtyny jeszcze sterczała malowniczo śród zieleni, zostało parę basztek narożnych okrągłych, jedna wieżyca niewielka z bardzo grubego muru, z blankami i wspaniała brama, niegdyś poprzedzona mostem zwodzonym. Tego już śladu nie było, wysypana na miejscu jego grobelka prowadziła wewnątrz.

Panowała tu cisza prawie grobowa, smutna, poważna, uroczysta; tylko niepowściągnione ptactwo szczebiotało gwarnie w drzew gąszczach. Nad głównym łukiem wrot wykuty był herb Spytków, już dobrze starty i mało wyraźny. Piąterko nad bramą miało wprawdzie okna, ale nie zdawało się zamieszkanem. Dwa ogromne, stare, posiwiałe brytany leżały, grzejąc się tu spokojnie i nie przywitały nawet gościa szczekaniem.

Dziedziniec był bardzo obszerny, a w głębi jego za zielonym trawnikiem, na którym wznosiła się kamienna figura Matki Boskiej, w podkowę zbudowany był zamek dosyć pokaźny i poważny. Była to budowa nie razem znać wzniesiona, nie zupełnie regularna, chociaż później starano się jej nadać formę jednostajniejszą. W półkolistych połączeniach korpusu ze skrzydłami na dole były arkady i sklepienia, u góry galerje i odkryte przejścia. Nad gankiem rodzaj kopuły blachą obitej panował, a we froncie armatury starą modą pomalowane, chorągwie, bębny, kotły, herby i cyfry.

Nad samemi głównemi drzwiami, których odrzwia, jak wszystkich innych okien i drzwi, były kamienne i ozdobne, stał napis pobożny: „Nisi Dominus aedificabitur" etc...

Po za skrzydły i dokoła wszędzie cienistych drzew zielone gąszcze służyły za tło wspaniałemu gmachowi, który był utrzymany czysto, starannie, ale w niczem nietknięty na nowy sposób. Owszem, zdawało się jakby pilnie czuwano nad tem, żeby się z niego cecha starożytna nie starła...

Nad prawem skrzydłem małoznaczna wieżyczka z sygnaturką oznajmywała kaplicę. Innych budowli nie było w dziedzińcu, kryły się one znać niżej po za fosami, a sam zamek mieścił w sobie wszystko, co do życia państwa mogło być potrzebnem. Wszakże życie to kryło się w niem tak, iż w podwórzu pusto zupełnie było, i Pan Repeszko gdy stanął przez respekt u bramy i wysiadł z dryndulki, zostawiając ją tutaj, nie dostrzegł żywej duszy, któraby mu peregrynacyą ułatwiła.

Ale że tu już był i trochę wiedział kędy się wchodziło i wychodziło, skierował się ku głównemu wnijściu. Tu na przestrzał przez sklepienie widać było starożytny ogród szpalerowy, z gankiem nań wychodzącym i piękną balustradą, a po za nią ogromne lipy, jodły i graby. Sień, wyłożona kamiennemi płytami, miała po obu stronach wspaniałe wschody na górę. I tu jeszcze nie było nikogo. Na ścianach, dawno znać malowane i wyblądłe, zieleniały niby krajobrazy, zamki, góry i lasy, ale pośród nich symboliczne postacie migały i na wstęgach mnóstwo łacińskich napisów. Wielki zegar pilnował wejścia. Drzwi wszystkie malowane były na biało, ze złotemi pasy, gzymsami i sznurkami. Jak w zaklętem jakiem zamczysku, dotąd pan Repeszko nikogo jeszcze nie spotkał, a oprócz świergotu ptactwa śród drzew, żadnego nie usłyszał głosu. Za to ciekawemi oczyma mógł do syta przyglądać się tej pięknej i nader troskliwie utrzymywanej budowie. Chód jego, choć ostrożny i cichy, rozlegał się dziwnie po gmachu, a śród uroczystego milczenia, samemu przybyszowi odgłos jego własnych kroków złowrogo jakoś i niemiło brzmiał w uchu.

Stał już nareszcie u drzwi, za któremi jakąś straż znaleść się spodziewał, uchylił je powoli i ujrzał w istocie, na wygodnem krześle z poręczami, przed stołem siedzącego staruszka, którego łysina trochą włosów jak puszek siwy miękkich otoczona, świeciła jakby wypolerowana kość słoniowa. Starzec ów miał na sobie liberyą, w ręku trzymał książkę dużą i czytał z niej przez okulary półgłosem litanią. Twarz jego łagodna była i uspokojona. Zrazu, usłyszawszy otwierające się drzwi i znać wcale nie spodziewając się obcego, nie podniósł oczu nawet, tak był w nabożeństwie swem zatopiony, Repeszko widząc to, jako był człek bardzo pobożny, a poczuwający się do obowiązku uczestniczenia we wszelakiem trafiającem się nabożeństwie, gdy i odchrząkiwanie i lekkie szurganie nogami nic nie pomagało, począł powoli odmawiać: módl się za nami! — Usłyszawszy to, starzec podniósł głowę dosyć obojętnie, a zobaczywszy nieznajomego, lekko ją skłonił, ale litanią odmawiał dalej i doszli tak do końca. Dopiero po antyfonie, okulary złożywszy do środka książki, staruszek powstał powoli i zbliżył się milcząco do Nikodema, który mu się powtórnie a nader uprzejmie uśmiechając kłaniał.

— Chciałbym mieć szczęście, — ozwał się Repeszko — widzenia się z panem domu.

Służący się uśmiechnął, lekko ruszając ramionami.

— Godność pańska?....

— Repeszko Nikodem, sąsiad jegomości ze Studziennicy, z uszanowaniem, a trochę w interesie.

— Hm! hm! rzekł stary kręcąc głową, i dobył grubego srebrnego zegarka, który miał u pasa za kontuszem, popatrzał nań uważnie, a potem znów namyślać się począł.

— Godzina jedenasta — rzekł — dochodzi za minut kilka. Nie wiem! nie wiem! Wszakże pójdę, oznajmię i zapytam, a waszmość pan raczy się tymczasem tu w sali zatrzymać i spocząć. To mówiąc, drzwi mu otworzył do obszernej komnaty, pustej, cichej, ale bardzo wspaniałej.

Była ona cała w drewniane okładziny biało ze złotem lakierowane przybrana, nade drzwiami tylko malowaniami staremi przyozdobiona. Na jednem z nich wchodząc dostrzegł pan Nikodem godła znikomości ludzkiej z napisami: Mors ultima linea rerum. W ścianach, naprzeciwko dwóch wielkich weneckich zwierciadeł, dwa były szczególne wizerunki, równie jak owe nadedrzwiami nie wesołe. Wystawiały one mężczyznę w zbroi,

leżącego na katafalku ostawionym świecami, z godłem w gorze: Credo videre bona in terra viventium — i kobietę również w trumnie spoczywającą, z krzyżykiem w ręku, a po nad nią na wstędze: Miserere mei Deus, secundum magnam misericordiam Tuam.

W pośrodku pomiędzy dwoma tymi portretami grobowemi, któreby przyzwoiciej w katakombach, niż w salonie zawieszone być mogły, w ramach czarnych był obraz wystawiający młodą panią lub pannę, w czarnych szatach, z różą w ręku. Twarz jej nadzwyczajnej piękności, artysta z wielkim odwzorował talentem, możnaby rzec, z rozmiłowaniem się w niej. Świeżość kolorytu i wykończenie, zdradzały niepospolitego malarza ze szkoły Rubensów i Van Dycków.

Portret ten i pięknością swoją i jedną nadzwyczajnością zwracał uwagę i pociągał oczy. Na pięknej białej szyi dziewiczej, dokoła biegł pas czerwony, wąski, jakby krwią zarysowany, który głowę odcinał.. Nie była to ozdoba żadna, rząd paciorek, ani naszyjnik, ale jakby ślad miecza... Twarz ta poważna, wypogodzona, acz smutna i dumna, nabierała uroku tajemniczości od tego dziwnego znamienia, którego pan Repeszko wytłumaczyć sobie nie umiał.

Stał jeszcze przerażony i zadumany przed tym dziwnym obrazem, gdy stary sługa za rękaw go pociągnął i rzekł cichym głosem:

— Jaśnie pan prosi... czeka...

P. Nikodem ruszył się żywo, ale stąpanie prowadzącego staruszka, przywykłego do powolnego uważnego, cichego chodu po tych milczących, opustoszałych komnatach, zmusiło go do zwolnienia kroku... Coś w tym zamku zaklętym, majestatycznie uspionym, skłaniało do ciszy i poszanowania miejsca jak w kościele Trzeba było iść ostrożnie, nie czyniąc wrzawy, do której ściany te nie były przywykłe.

Po tej sali zagadkowych wizerunków, nastąpiła druga z okrągłą kopułą w środku, przez którą wpadało trochę światła we wnętrze; okiennice jej wewnętrzne były poprzymykane i półcień zalegał całą. Dokoła nad sofami rzędem opasywały ją portrety wielkie całych postaci, naprzemian niewiast i rycerzy. Niektóre twarze blade, pozawijane chusty białemi, występowały tylko z mrocznych cieniów... gdzieniegdzie zarysował się owal młodszego męzkiego oblicza, lub czarno patrzyły oczy z posępnej czaszki zarosłego starca w zbroi. Ten milczący szereg umarłych napełniał postrachem, jakby ze zwierciadeł migały istotnie widma i cienie upiorów jakichś, na sąd surowy wywołane. W pośrodku stojący stół, okryty ciemnem suknem, na którem bielał dzwonek srebrny, nadawał sali pozór izby sądowej. Chciał się przez ciekawość wstrzymać tu p. Repeszko, ale droga wysłana dywanem przechodziła przez salę na wskróś i wiodła do innej, świetlejszej i nieco weselszej. Ta była długą niby zbrojownią, pełną misternie powiązanych i poukładanych orężów i zbroi, dziś już nieużywanych, które rozmaitością i bogactwem zastanawiały... Były tam niewidzianej piękności puklerze i tarcze z godłami rodziny, kołczany szyte złotem, buńczuki, chorągwie, buzdygany, buławy, szable najrozmaitszych kształtów; lecz co najbardziej zastanawiało, to cztery całkowite zbroje, szmelcowane, złocone, prawdziwe dzieła sztuki, wyobrażające jakby czterech rycerzy w zamkniętych hełmach, stojących po czterech rogach na straży... Każdy z nich trzymał w ręku kopją z proporczykiem, na którym szyte były herby, a ręką drugą wspierał się na tarczy... Pan Repeszko z przerażeniem ujrzał, że u tych drzwi, do których się zbliżali, stojący rycerz miał przyłbicę podniesioną, a z niej nie czarna głębia wyglądała, ale głowa trupia całkowita, szydersko śmiejąca się zębami białemi i jakby urągająca z życia... Na proporczyku jej czarnym i białym stały wyszyte wyrazy:

Mors vita i Vita mors.

Nie dał mu się i tu zatrzymać przewodnik, wiodący go zwolna, ale nieubłaganie dalej. Weszli do mniejszej komnaty, w której stał klęcznik z krucyfiksem, obłożony książkami oprawnemi w jaszczur i pergamin. Po nad nim wisiał obraz Matki Boskiej częstochowskiej a w lewo cała ściana od góry do dołu wysłaną była mniejszemi wizerunkami rodziny, pośród których wypisano na wstędze:

Requiescant in pace...

Rzuciwszy zaledwie okiem na te rzędy głów, Repeszko dojrzał wypadkiem znaną już sobie głowę dziewicy, z czerwoną krwawą przepaską na szyi... (C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA
NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM.

przez

M. KANTECKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Władysław Jagiełło oblegał właśnie Brodnicę, pod którą zawiódł go fortel nieprzyjacielski, gdy do obozu polskiego przybył legat papieża Jana XXIII, biskup lozaneński, Wilhelm, za którego pośrednictwem 7. października 1414 r. wojujące strony zawarły rozejm aż do 8 sierpnia 1416 r. Kwestyą sporną oddawano pod rozstrzygnięcie zwołanemu właśnie do Konstancyi soborowi powszechnemu, aż do którego to czasu obie strony wracały do status quo ante; tylko mała twierdza Jasieniec, położona niedaleko ujścia Bredy do Wisły, a zdobyta w ostatniej wojnie przez wojska królewskie, pozostawała przy Jagielle.

Pomimo, że tak chętnie zgodzono się na oddanie sprawy pod rozstrzygnięcie soboru, ani jedna, ani druga strona jednakże nie myślała się stosować doń w razie niepomyślnego dla siebie wyroku. Środka tego chwycił się Jagiełło z tej jedynie przyczyny, że dawał mu możność wycofania się z wojny, która przy zupełnym braku żywności (bo kraj zniszczyły już to wojska królewskie, już sami Krzyżacy, aby zmusić tym sposobem króla do odwrotu), nie mogła mu pożądanych przynieść rezultatów.

I Zakon znajdował się wskutek wspomnianego zniszczenia kraju i wyczerpnięcia wszelkich środków w tak krytycznem położeniu, że rozejm, jakimkolwiek uzyskany sposobem, prawdziwym był dobrodziejstwem dla niego.

Jak dalekim był Jagiełło od poddania się ostatecznemu wyrokowi soboru, o tem poucza nas list ówczesnego wielkiego mistrza, Michała Küchmeistra, pisany do rygskiego arcybiskupa, Jana Wallenroda, bawiącego w Konstancyi, którego odnośne miejsce brzmi jak następuje: „Wszakże wiemy, że wyroku nie przyjmą Polacy, jeśli im Pomorze nie będzie przyznanem, ale ty w silnem miej to baczeniu, nie odstępować krajów“... [1]) Z drugiej strony przebija jasno ze słów wyżej przytoczonych, że i wielki mistrz nie zgodzi się na wyrok, pozbawiający Zakon jakichkolwiek posiadłości. Nie dziw zresztą, że obie strony tak nie wiele ważyły sobie sąd soboru; bo czyż można było uważać za kompetentnego pośrednika zgromadzenie, obradujące w Konstancyi, z dala od teatru wydarzeń, którego członkowie nie mieli pojęcia o istocie i doniosłości całego sporu?

Polskę przedstawiają na soborze konstancyeńskim mężowie, których imiona na zawsze zapisane zostały w historyi naszego narodu. Oprócz świeckich panów: Janusza z Tuliszkowa, kasztelana kaliskiego, i głośnego w całej Europie z rycerskich czynów Zawiszy Czarnego z Garbowa, którzy przybyli do Konstancyi jako specyalni delegowani króla Władysława w sprawie spornej z Zakonem, napotykamy tam jeszcze najwyższych dostojników polskiego kościoła, jak: Mikołaja Trąbę, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana z przydomkiem „Kropidło“, biskupa kujawskiego, Jakóba Kurdwanowskiego, biskupa płockiego i Andrzeja Laskarego z Gosławic herbu Godziemba, krakowskiego dziekana, biskupa-nominata poznańskiego. [2]) Uniwersytet krakowski, zawdzięczający swe założenie i uposażenie hojności Jagiełły, wysyła do Konstancyi ówczesnego swego rektora Pawła, syna Włodzimierza, herbu Dołęga doktora dekretów, kanonika i kustosza katedralnego krakowskiego. [3])

Później przybyli jeszcze na miejsce soboru: Piotr Wolfram, licencyat prawa kanonicznego, kantor kollegiaty wiślickiej, [4]) Jan Rzeszowski, arcybiskup lwowski i Piotr, biskup wileński, z świeckich panów: Grzegorz Godygold, starosta podolski, i Jerzy Bolimin Nadpobiowicz, Litwini i Mikołaj Sepiński, szlachcic polski. [5])

Że oprócz posłów, których imiona przytoczyłem powyżej, więcej jeszcze znakomitych panów polskich znajdowało się podczas soboru w Konstancyi, zdaje się nie ulegać wątpliwości;

---

[1]) Voigt. Geschichte Preussens VII 273; podług tłumaczenia Gołębiowskiego. Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III. I. 240.

[2]) Andrzej Laskary pełnił już dawniej misye dyplomatyczne; nominacya na biskupstwo poznańskie spotyka go we Węgrzech, gdzie właśnie traktował z Zygmuntem. Dług. XI. 155.

[3]) Patrz rękopis Pawła, znajdujący się w bibliotece Zakładu Narod. Im. Osolińskich we Lwowie Nr. 166. Na str. 36 i 37 czytamy tam: Sic apparet michi paulo Wladimiri Custodi et Canonico ecclesie cracoviensis inter decretorum doctores minimo... Sicque rector protunc universitatis studii cracoviensis existens et ad generale Concilium constanciense per serenissimum dominum Wladislaum Regem Polonie cum aliis dominis pro ambasiatore missus eundo per viam scripsi anno Domini millesimo quadringentesimo quinto decimo. Porównaj „Uwagi“ nad rzeczonym manuskryptem, ogłoszone przezemnie w Warcie Nr. 149 str. 1617.

[4]) Piotr Wolfram wyruszył do Konstancyi w miesiącu sierpniu 1416 r., jak to widać z listu Władysława Jagiełły, pisanego do ojców Soboru, który Piotr Wolfram zabrał ze sobą Handt. Acta c. const. IV 867-872 (Piotr nazwany tam lator praesentium litterarum).

[5]) Długosz XI 181.

*

niestety nie wszystkim dane było zająć równie wybitne, jak poprzednim, stanowisko i przekazać nazwiska swe potomności. Orszak, otaczający polskie poselstwo, odznaczał się i wielką liczbą i świetnością, jak o tem wyraźnie wspominają kroniki. *)

Trzeba przyznać wysłanym do Konstancyi posłom, że dzielnie bronili spraw państwa, powierzonych ich pieczy. Nie tylko świeccy panowie, ale i biskupi z Mikołajem Trąbą i Andrzejem Laskarym na czele walczą wszelkiemi siłami przeciwko intrygom krzyżackim, nie szczędząc ani zabiegów, ani złota w obronie interesów swego kraju. Najwięcej jednakże ze wszystkich zasłużył się bez wątpienia rektor krakowskiej wszechnicy, Paweł Włodzimirzowic, który działalnością, jaką rozwinął podczas soboru, wystawił sobie, że użyję słów rzymskiego poety posąg trwalszy od spiżu. Zbrojny zadziwiającą erudycyą, podbijającą wymową, niekłamanym zapałem, a co najważniejsza, tem moralnem przekonaniem, że słusznej broni sprawy, bił Paweł Włodzimirzowic coraz silniej i nielitościwiej taranem nieprzebłaganej niczem krytyki w zachwiane w swych najgłębszych podwalinach mury zakonnej twierdzy. **)

Nie mniej liczne i świetne było poselstwo, które Zakon wysłał ze swej strony do Konstancyi, aby broniło jego interesów. Na czele zakonnych pełnomocników stoi Jan Wallenrod, arcybiskup rygski, żarliwy obrońca spraw Zakonu, którego orszak ze 180 składał się koni; *) obok niego widzimy niemieckiego mistrza Konrada z Egloffsteinu, Fryderyka z Welden, komtura kiseporskiego, a po jego śmierci Jana Selbach, toruńskiego komtura; dalej prokuratora zakonu Piotra Wormditl, warmijskiego kanonika Kaspra Schauenflug i wielu innych. Posłowie krzyżaccy wieźli ze sobą na sobór ciekawe pismo wielkiego mistrza, w którym tenże pokornie „nieszczęśliwy Zakon i jego srodze uciśnione ziemie nietylko pieczy papieża porucza, ale i Zygmunta, elektorów, wysokich prałatów niemieckiego państwa, nawet obecnych w Konstancyi wysłanników pizańskiego uniwersytetu w gorących słowach o radę i pomoc uprasza, aby Zakon, to przedmurze chrześcijańskiego świata, nie upadł zupełnie."

(C. d. n.)

---

*) Dług XI 166 i 183. Theodor Vrie: Historia Conclii Constanciensis w Hardta: magnum oecumenicum constanciense concilium I. pars 1, pag. 157: de Bohemia vero et Polonia barones multi, milites quasi sine numero.

**) Hermann von der Hardt, uczony wydawca aktów i pism, odnoszących się do konstancyeńskiego soboru, mówi zawsze o naszym Pawle „magnus inclytus legatus Poloniae", a zdanie jego, że chrześcijaństwa mieczem propagować nie wolno, nazywa: „egregia sententia."

Przy tej sposobności niech mi będzie wolno pomówić o pismach Pawła Włodzimirzowica, zwłaszcza, że wiadomości, jakie o nich dotychczas posiadamy, bardzo są szczupłe i po części niejasne.

Najgłówniejszą, zdaje się, pracą krakowskiego rektora, jest rozprawa drukowana w Tytusa Działyńskiego: Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum III str. 66 147, w której dokumenta donacyjne Krzyżaków, wystawione już przez papieża i cesarzów niemieckich, opatrzone są w rozmaite zbijające je glossy. Rozprawę powyższą znalazłem także w przytoczonym już raz własnoręcznym rękopisie Pawła, znajdującym się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, na karcie 360—401 incl. (Obszerniej o tym „Uwagi nad rękopisem, odnoszącym się do soboru konstancyeńskiego" czasopismo „Warta" loco citato). Kiedy rozprawa ta przedłożoną została soborowi, nie umiem powiedzieć, gdyż autor nigdzie w swej pracy o tem nie wspomina; Hardt zupełnie rozprawę tę pomija.

Oprócz tego znajdujemy we lwowskim manuskrypcie, od karty 186 począwszy, traktat Pawła, rozpoczynający się od słów: Quantum antem ad tractatum secundum, cujus occupacio erit circa responsionem XXIII conclusionum contentarum in libello cujusdam Johannis de Bomberga doctoris decretorum, qui libellus idem videtur ad materiam et effectum cum libello fratris Johannis Falkenberg ordinis predicatorum in se XXIII conclusiones continente, — non illo pridie condempnato, sed alio superquo adhuc pendet judicium. Dzieli się ten traktat na dwie części; na str. 247 powiada sam autor: nunc veniendum est ad secundum principale hujus secundi tractatus, in quo reprobari videtur bellum polonorum contra cruciferos per subsequentes conclusiones. Verum quia post predictum bellum deffundebatur sermo apud Reges, principes et alios Christianos per eosdem cruciferos, prout fama publica declarabat, quod serenissimus rex polonie cum polonis et auxilio infidelium eos debelasset... igitur ad occurrendum scandalo, quod in mentibus simplicium per juris ignoranciam sequi posset... scripsi... Słowa „non illo pridie condempnato sed alio super quo adhuc pendet judicium odnosić się mogą albo: 1) do pierwszego traktatu Jana de Bamberga, który Paweł usiłuje zbić *w osobnej rozprawce* (*patrz manuskrypt str. 72-83*), albo 2): do jednego z trzech traktatów, które Jan Falkenberg w obronie zasad pokrewnego sobie duchem Jana Petit napisał przeciwko Gersonowi, kanclerzowi paryskiego uniwersytetu (porównaj Hefele: Conciliengeschichte tom VII oddział I. 343), albo wreszcie 3): do osławionego paszkwilu Falkenbergowego.

Za jednym z trzech traktatów, przeciwko Gersonowi wymierzonych, zdaje się przemawiać *miejsce*, które w zdaniu zajmują owe ciemne słowa: non illo pridie condempnato...; słowa: alio, super quo adhuc pendet judicium (co do którego do ostatecznej jeszcze nie przyszło zgody), mówiłyby za paszkwilem, względem którego, jak się o tem później dowiemy, do wielkich pomiędzy polskimi posłami, a papieżem Marcinem Vtym, przyszło nieporozumień. Niestety w całej tej kwestyi tak mało mamy pewnych danych, na którychby się oprzeć można, że trudno rozstrzygnąć, do czego się właściwie wzmiankowane tylokrotnie słowa odnoszą; inaczej byłoby, gdybyśmy wiedzieli chociaż tylko, w którym czasie rozprawa napisaną została. Gdybyśmy przez pismo, „względem którego nie nastąpiła jeszcze ostateczna zgoda", zrozumieli paszkwil, w takim razie napisanie tej rozprawy przypadałoby koniecznie w czasie po 27. stycznia 1417 r., gdyż wtedy dopiero przywiózł Trąba pismo Falkenbergowe do Konstancyi. O obydwóch rozprawkach Pawła, o których tu była mowa, nigdzie dotychczas żadnej doczytać się nie mogłem wzmianki.

Inny traktat napotykamy w manuskrypcie na karcie 207-219. Zaczyna on się od słów: Ego magister Paulus Wladimiri Custos et Canonicus ecclesie cracoviensis inter decretorum doctores minimus tria tractanda subicio correctione, adquam pertinet, salva. Primo de *potestate pape* 2 *depotestate imperatoris* — respectu infidelium. Et uterque tractatus pro pleniore declaratione materie XI continet questiones. 3° Retractabitur quedam opinio erronea circa hanc materiam que improbatur et suis racionibus respondetur. Zdaje mi się bardzo, że traktat ten jest identyczny z rozprawką wspomnianą przez Hardta l. c. IV. P. VI. p. 388 pod dniem 5 lipca: Polonorum in concilio legatus inclytus Paulus Wlodimiri de Cracovia librum hac occasione scripsit de *potestate papae et imperatoris* respectu infidelium. Quo demonstrare allaboravit jus nulli competere, nec dari aliis a quoquam posse armis fidem Christi propagandi. Tego samego dowodzi Paweł w traktacie, znajdującym się w manuskrypcie (207—219). Czytamy tam: Quantum ad primum tractatum. Primo queritur, utrum principes sine peccato possunt expellere Saracenos et Judeos de Regno suo et eis bona anferre.. Et an papa potest hoc principibus precipere vel suadere. 2 si infideles habent regna et provincias separatas a nostris et ibidem jurisdictionem exercent et omnia ferent, utrum licet christianis, illis in pace viventibus, bellum movere et eorum bona occupare sine peccato.

Wypada mi tu nadmienić, że wszystkie wzwyż wspomniane rozprawy, jak się o tem z przytoczonych miejsc snadnie mogliśmy przekonać, tak są sobie pokrewne treścią, a częstokroć i formą zewnętrzną, i że wiadomości podawane o nich przez Hardta (l. c.) tak są krótkie i niejasne, iż trudno bardzo rozróżnić, gdzie mowa o jednej, a gdzie o drugiej. Tem daje się wytłumaczyć błędne zdanie Zeissberga o pismach Pawła; patrz jego „Polnische Geschichtschreibung des Mittealters" 170 uw. 7.

Najwięcej zawikłana jest sprawa traktatu, wydrukowanego w Hardta Acta concilii constanciensis III P. II 9—27, pod tytułem: Pauli Voladimiri demonstratio Cruciferis opposita: Infideles armis et bello non esse ad christianam fidem convertendos. In constanciensi Concilio in solleni congregatione A. 1415 die 6 Julii publice proposita. Hardt napomyka, że rosprawę tę wyjmuje z większego dzieła, bo to oznaczają umieszczone przed „Pauli Voladimiri" słowa: ex ergo. Za nim idzie prof. dr. Caro (Historya Polski III 448 uw. 2), który jednakże, pomimo iż na początku swej pracy Włodzimirzowic powiada wyraźnie: „Sabbato sexto Julii Paulus Volodimiri dedit hanc schedulam" przedłożenie jej soborowi naznacza na dzień 5go lipca. Opiera się tu prof. Caro chyba na wzmiance umieszczonej w końcu rozprawy: si quempiam praemissae conclusiones delectant videre poterit cum allegationibus latius delibaratas in tractatu supradicto et tradito nationi germanicae Anno MCCCCXV die quinta mensis Julii, nie zważając, że mowa tu o innym traktacie (zapewne, jak już zauważyłem „de potestate papae et imperatoris respectu infidelium co także potwierdza wzmianka w Janociana III, 371). Na czem opiera się Hardt, twierdząc, że rozprawa, którą podaje, jest tylko częścią obszerniejszej całości, nie umiem powiedzieć; w manuskrypcie lwowskim znajduje się ten traktat (197—206) w tej samej, co u Hardta rozciągłości, a że nie był on obszerny, tego dowodzą przytoczone już słowa: „poterit cum allegationibus latius declaratas videre in tractatu etc."

Oprócz pism polemicznej treści, wymierzonych przeciwko Zakonowi, zajmuje się jeszcze Paweł sprawami kościelnemi. Porównaj w tym względzie jego traktat o symonii (manuskrypt lwowski 5—41) i krótką „brulionowym sposobem rzuconą konotatkę" (cfr. prof. Ant. Małeckiego: Karta z dziejów uniwersytetu krakowskiego, str. 16 uw.) o: 1) zniesieniu annatów, 2) pozostawieniu kapitułom wolnego wyboru biskupów i innych prałactw 3) zaniechaniu mniej słusznego przenoszenia biskupów z jednej katedry na drugą 4) o oględniejszem niż dotąd postępowaniu przy nadawaniu kardynalskiej godności.

Ostateczne słowo o pismach Pawła wyrzec będzie można dopiero wtedy, gdy przytaczany tylokrotnie przezemnie lwowski manuskrypt umiejętną wydany zostanie ręką. Akademia Umiej. kr., dowiedziawszy się o tym rękopisie, powierzyła jego przejrzenie resp. odpisanie p. Link, ale jak się dowiedziałem od szanownego sekret. Akad. prof. J. Szujskiego, p. L. nie wywiązał się z zadania. Od p. prof. Caro dowiedziałem się prywatnie, że jedno z pism Pawła Włod. znajduje się w Petersburgu; być jednak może, że jestto jedna z zawartych w naszym ms. rozpraw.

*) Voigt VII. 256;

**) ibid. 257.

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka toskańska.

I.

Po Atenach i Rzymie wzięła Toskana berło sztuki. Usnęła wspaniała jej stolica, Florencya, u stóp Apeninu wieńczona girlandą winogradów, a żadne ponoś z wielkich miast cudnej Italii nie leży piękniej Z daleka, ze szczytów gór widać ją. Arno, srebrna przepaska, niesie urodzaj w okalające doliny Dokoła legły Prato i Pistoja, Lukka i Piza, możne nadmorskie Liworno, i mistrzyni średniowieczna Siena — jakby klejnoty jasne toskańskiej korony, rozpostarte na kobiercu uro-

dzajnej zieloności. — Toskana to ogród kwiatów i sztuki.

A kto chce wiedzieć, jak się tutejsza sztuka narodziła, niech jedzie do Pizy i niech spojrzy na fasadę katedralną. Trzy bramy ze spiżu stanęły wśród wielkiego muru z żółtawego marmuru, na którym białe gzymsy naśladują niby rzymskie łuki. Środkowa brama największa, dalsze stanęły po obu stronach w regularnych ustępach; a że każda brama ujęta między dwiema bogatemi niegzymsowanemi korynckiemi półkolumnami, więc stanęło tu na fasadzie półkolumn pięć, a siedm łuków rozmaitej wielkości. Powyżej piętrzą się cztery piątra kolumnad i łuczków. Każda kolumnada składa się z roju drobniutkich kolumn o prostych, ale jednak korynckich głowicach. Każda taka kształtna, nieżłobkowana kolumna, wykonana z białego, albo różowego marmuru, dźwiga drobne rzymskie łuczki. Cały ten spiętrzony rój leci do góry, gdy znów podział na piątra dodaje spokoju budowie. Pierwsze piątro równie długie jak dolny mur, drugie tworzy za pomocą niższych bocznych kolumn dach płaski, tak, że trzecie piątro już posiada tylko trzecią część długości pierwszego, a czwarte tworząc znowu dach wierzchni zakończa przyczołek. Kolumny na sążeń przeszło odstają od muru, i prawdziwe dźwigając łuki, tworzą u piątr prawdziwe portyki.

Widzimy tedy tu same motywa rzymskie i greckie w zupełnie oryginalną całość ułożone, i mówimy o tej całości że jest romańską — tak jak romańskimi zowiemy języki, które powstały z inaczej ułożonych łacińskich źródłosłowów.

Fasadę tę podobnie jak katedrę postawili u schyłku 11go i na początku 12go wieku mistrzowie Rinaldo i Buschetto, i świadczą tem jaki smak wyrobił się na ziemi toskańskiej pod wpływem chrześciaństwa i feodalizmu.

Nie masz tu w rzeczy samej nic takiego, coby już w starożytności nie istniało. Nietylko szczegóły jednakowe, ale i uczucie estetyczne to samo co dawniej — tylko że szczegóły bardziej rzymskie, duch całości bardziej Ateny a mianowicie Erechtejon przypomina. Dół prawie nie zwraca na siebie uwagi. Widać na nim ornamentykę rzymską z epoki Hadryana, z czasów upadku, ale bardziej jeszcze bezmyślną jak u Hadryana. Te ozdoby, te półkolumny nie udają nawet greckiej kolumnady, nie bawią się w żłóbki, nie dźwigają gzymsu udającego fryz. One udają na większe rozmiary, to co widać u góry, w życiu i prawdzie. Dla tego każdy patrzy na górę, na architektoniczną rzeczywistość, a nikt nie patrzy na duży naśladujący dół.

U góry, po piętrach, nie ma już ani półkolumn, ani dekoracyi. Są drobne, ale prawdziwe, ale żywe kolumny, a choć nie żłóbkowane, są tak mnogie, że wielkiem wdzięcznem, czarodziejskiem drgają życiem. Tylko zamiast gzymsów dźwigają rzymskie łuki, nad któremi stoją nowe kolumnady, przez co ruch cały architektury, i tak wysoko po nad poziom wzniesionej, bujniejszy, lotniejszy, radośniejszy jeszcze jak w jońskich budynkach Aten.

Choć mnogość kolumn wielka, nie mąci się widzowi w głowie, bo od razu rozróżnia pięć działów w budynku, dół i cztery systematycznie ułożone piątra. Tłum kolumn w ten dział ujęty wydaje się chórem aniołów podzielonych na legiony. Płaskie prawie zakończenie daje pokój całości.

Budowniczy nie miał na swoje rozkazy rzemieślników tak zręcznych jak w starożytności, i ztąd pochodzi, że głównice mniej piękne i gzymsy mniej misterne; ztąd mniej potężne proporcye, choć gmach bardzo wielki — o wiele większy od ateńskich; ale łuków śmiałych nie ma tu prawie, i nie ma wielkiego podmurowania, i zuchwałych greckich brusów kamiennych. Słowem budowniczy nie wiele mógł i nie wiele śmiał; a może to, prócz drobnych kolumn, jedną przyczyną więcej, dlaczego wielka ta katedra robi wrażenie radośnej dziecinnej pieśni.

Ale owe dzieci jenialne — ów Rinaldo i Buschetto, zrobili, choć nie całkiem po raz pierwszy, to o czem Grecy nie myśleli, a co się Rzymianom nie udawało. Złożyli harmonijną całość z różnorodnych części, jakby z kilku pojedynczych budynków. A cel ten najpierw tem osiągnięty, że jedna część budynku jest jakby przygotowaniem do drugiej, i że się tak wrażenia stopniują, aż póki do szczytu nie dójdą u wielkiego ołtarza. A wrażenia owe, nawet tam, gdzie najpotężniej się rozgoszczą, są znów tylko symbolem niewidomej wcale rzeczy z zaziemskiego świata.

Kto od miasta przychodzi, zwyczajną tak pobożnych jak i zwidzających drogą, ten ujrzy wielki żółtawy budynek o dość niepokaźnej postaci. Budynek ten rozpostarł się w kształcie krzyża, którego krótsza strona do widza zwrócona. Krótsza owa stona to głowy krzyża zaokrąglone, a gmach cały symbolem zbawienia i męki Pańskiej. U środka, tam gdzie się ramiona z piersi rozchodzą, stanęła mała kopuła owalna. Dach jakkolwiek płaski, załamany jest na kształt dachów francuskich, a boki całe przyobleczone w gzymsy tworzące kolumny i arkady. Okna rzadkie w łuk zagięte mieszczą się głównie tylko w murze wyższym, co dach na dwie połowy przedziela. Całość ta spokojnie w słońcu wygląda, żadnego silnego wrażenia nie rodzi, a tylko prawi po cichu o tajemnicach chrześciańskich. Sam gmach krzyżem, a nad kopułą drugi krzyż dźwignął się w obłokach. Kto się całemu kształtowi gmachu przypatrzy, ten odgadnie wnętrze; a ciche łuki z gzymsu wróżą fasadę.

Widz, który do wnętrza kościoła wejść pragnie, stanie teraz przed wspaniałym frontem. Tu już formy nawy czyli wnętrza wyraźnie uwidocznione; a choć dół zawsze tylko z gzymsu ma łuki i kolumny, mnogi drobniejszy spiętrzony lud u góry, dał już prawdziwe życie, kolumny prawdziwe i prawdziwe portyki, które tu już z chrześciańska *klasztorami* przezwiemy.

Przez główną bramę wchodzi się do wnętrza barwnego w gołębie, ciche kolory, w których nic nie krzyczy, nic oka nie ćmi. Wchodzi się do dłuższego ramienia krzyża, do wielkiej nawy. Jestto wnętrze greckiej świątyni, które nie wielkiej uległo zmianie. Środkiem ciągnie się szeroka ulica o harmonijnych, łatwo przejrzanych proporcyach, a po bokach widać na niewielkiem wywyższeniu dwa rzędy korynckich kolumn. Tylko że kolumny, nie żłóbkowane i bardzo gęsto ustawione, nie belkowanie, jeno mnogie łuczki dźwigają. Po nad łuczkami wznosi się ogromna masa barwnego marmurowego muru — większa o wiele od dźwigających ją kolumn. Jednostajność muru przerwana oknami, składającemi się z trzech łuków spartych o dwie malutkie kolumny. Każde okienko takie, to symbol trójcy, przez które światło spadało na kapłańskie processye, co u dołu kroczyły uroczyście. U samej góry zwisł płaski złocony sufit, a wierni garnęli się do bocznych krużganków po za kolumnady.

Tu już nie patrzali na idealne kolumny, jako na lud serafniczny, nad fasadą w niedostępnej wysokości zwieszony. Tu zamieszkali już wśród kolumn, pod sklepieniami. Bo za pierwszą kolumnadą był z każdego boku odstęp niewielki, po nad którym stanęły sklepienia, a za odstępem była kolumnada druga, i odstęp drugi sklepiony, i dopiero mur. Kapłan, co wielką nawą szedł z processyą i z jednej i z drugiej strony widział jakby otwarte perspektywy, a lud stanął w wązkim kolumnami otoczonym krużganku, jakby w przedsieni greckiej świątyni.

Ale i te kolumny, te kamienne duchy, i istoty idealne, choć nieco nadto może wiotkie, były tylko przednią strażą kościoła. Tylko po bokach ziszczała się obietnica; tylko tu kolumny dźwigały sklepienia małe, wróżące o niebiesk e n sklepieniu; wielka nawa o płaskim suficie, w której do kolumn było daleko, i którą widz wchodził do kościoła, nie była dotąd objętą życiem, co stanęło u boków; w wielkiej nawie było się jeszcze na ziemi.

Dopiero pod kopułą tam gdzie się ramiona krzyża rozchodzą, zamieniał się kościół cały w obraz nieba, wesołego, świetlonego. U góry sklep rzeczywiście podobny do nieba kształtem, wzniesiony powyżej sklepień, nie wielki, owalny, ale pełny światła jakby nadprzyrodzonego, bo złocony cały; wśród pozłoty migają postacie aniołów, nieruchome, wykonane z mozaiki. To sklep kopuły. Ztąd na każdą stronę widok odmienny. Tylko obydwa poprzeczne ramiona krzyża podobne do siebie. Możnaby gmach podzielić na dwie połowy podobne do siebie, ale tylko na dwie, i tylko jedną linią. To samo może się stać z ciałem ludzkiem, i to zwiemy symetrycznością. Jest to dla oka i umysłu rzecz pożądana, jako dowód prawidłowości budowy.

Z jednej tedy strony widok jakoby na kościół w[illegible] na ziemi, na długą nawę, w której lud s[illegible]i. Po ramionach krzyża widać już niebi[illegible]świetlice. Kolumnady już jednym tylko rzędem weszły, załamawszy się do tych ramion bocznych, ale tu i główne nawy, i gmach cały sklepione i złocone, kończą się złoconemi hemisferami, półkulami światła w których jaśnieją barwne postacie świętych. W głowach krzyża znów, choć przez chwilę tylko widać kolumnadę podwójną, ale nad nią dźwiga się najpotężniejsze złote sklepienie, a w głębi nad wielkim ołtarzem półkole półkopuły złotej, w której olbrzymi mozaikowy Chrystus zasiada na stolicy. Środkowa kopuła jest punktem, z którego najlepiej patrzyć na ten świat sklepień złotych, i jest ich środkiem. Dokoła niej stanęło ośm kolumn potężniejszych o wiele, na których niby główne owe kopuły sklepienie spoczywa. Tu od kolumn tych wyszły nowe, zwisłe w powietrzu kolumnady, na niskim łuku oparte. One rzędem drobnych romańskich arkad boczne ramiona od środkowej budowy odłączają. Przez nie złote sklepy widnieją, jakby w ramy ujęte, jakby od świata oderwane, jakby cudem zrodzone. I te kolumny napowietrzne równie cudowne, i cudowny ów Chrystus, co nie na ziemi stanął, jedno zwisł nad wielkim ołtarzem wśród złota; i wielkie mury co nad kolumnami sterczą wydają się cudowną siłą po nad poziom wzniesione.

Oto katedra pizańska. Szukano w niej wdzięku raczej niż siły, ukochano staro-grecką kolumnę, spółczuwano z nią, ale radowano się, gdy się jej dawało pozornie niemożliwe zadanie, każąc jej dźwigać wielkie masy pstrych murów

i sklepień złotych obsianych postaciami świętych. Chodziło o to przedewszystkiem by całe pstre niebo, pełne cudowności, w cudowny sposób po nad ziemię wynieść, wsparłszy je tylko o słabsze i silniejsze kolumny, jakoby o cudowne duchy, co jakkolwiek możne i piękne, działają łaską boską wzmocnione i upadłyby bez wszechmocnej łaski i błogosławieństwa Chrystusa. Kolumny te piękne i niemocne bez Boga, tak jak nawet przemienione dusze świętych. Jednak i one, jakby cudem czasem nad ziemią wzniesione, bujają w powietrzu ponad bocznemi ramionami krzyża, tworząc cudowne ramy dla cudowniejszych mozaikowych widzeń.

Tu już żywioły pogańskie zupełnie przez chrześciaństwo przemienione. Kolumna cudem stoi u góry, prawie bez podpory, na tle złocistem; sklepienie, już nie jednostką, tylko obrazem nieba. Człowiek lubował się w myśli o swojej niemocy, gdyż był pewnym, że Chrystus tę niemoc przemieni, i okazał przemieniony złotem obraz niemocy owej.

Zresztą wszystko tu tylko przygotowaniem do chóru, tylko cichszem powtórzeniem tej samej mistycznej myśli. Każda kolumna, wbrew swojej naturze, maciopki łuczek, drobny obraz nieba dźwiga, u fasady portyki czy też klasztory wzniesione gdzieś po nad ludzkie głowy, iskrzą się w błękitach prawdziwego nieba, a zewnętrzna postać gmachu jest tylko wynikiem i cichem odbiciem wnętrza. Wszędzie czar kolumn, wszędzie złoty, miły oku blask kolistych nieskończonych niby sklepień, uroczyście i wdzięcznie wspomina tajemnice wiary. Kościół ten, piękny sam przez się, czarował i tem, że wspominał ukochaną przez lud wiarę, i tem że jednę myśl przeprowadzał wszędzie. Człowiek korzył się przed Bogiem w chórze, ale blask ów, i lotność owa, i cudowność nie jawiły się od razu. Przygotowany i zewnętrzem i fasadą, i nawą, widz, wprawiał się powoli w zachwyt pobożny.

Grek i Rzymianin nie byliby zrozumieli mistycznej owej symboliki, co prawi o krzyżu, i łasce i odkupieniu, ale byliby radzi patrzali na okazałe marmury, oko ich byłoby bujało swobodnie po różnorodnych perspektywach, a sklepienia złote byłyby ćmiły i myśl ich i oko. Byłby starożytny poganin podziwiał sztukę, co z tylu różnorodnych części, tak jednolity a ogromny gmach dźwignęła. Byłby tylko zarzucił budowie to, że szczegóły w niej mniej dokładnie wykonane, że kolumny i głównice nie z taką jak w Atenach sztuką rzeźbione. Byłby może ruszył ramionami na to, że Rinaldo i Buschetto chcieli ciągle nadać kolumnom pozór, że czynią to, co nie jest w ich mocy, że zbyt wielkie sklepienia dźwigają i w powietrzu bujają. To byłoby może obraziło rozum klasycznego krytyka. To właśnie w rozkosz wprawiało mistyczną wyobraźnię chrześcijańską.

Gdy Pizańczycy z krętych zaułków średnio wiecznego miasta wychodzili, podziwiali z dumą ład i świetność, życie i tajemniczy pokój dzieła Rinaldowego. Wkrótce powstała u nich myśl, by kościół, położony opodal od miasta, otoczyć godnymi kościoła tego budynkami. Zresztą kościół ów nie był kompletnym w odosobnieniu. Było to miejsce, do którego tylko chrztem odkupionemu wolno było wchodzić. Przed bramą kościelną musiała tedy stanąć chrzcielnica, w którejby przysposabiano niemowlęta, mające kiedyś wejść do kościoła. Gdy tedy Buschetto, objąwszy dzieło po Rinaldzie, kościół ukończył, gdy dwunasty wiek do połowy już dobiegł, polecili Pizanie mistrzowi *Diotisalvi*'emu podźwignąc chrzcielnicę naprzeciw kościoła. Mistrz ten mniej mistycznie a więcej z rzymska od Rinalda rzecz pojął. Postawił biały, krągły gmach marmurowy o wielkiej rzymskiej nieco ciężkiej kopule. Gmach ten podobny do krągłego, hussarskiego, staropolskiego szyszaku. Tylko dwa piętra półkolumn korynckich i udanych łuków zdobią rzymską ornamentyką mury świątyni. Ornamentyka ta staje się prawdą na wewnątrz. Tu bieży dokoła chrzcielnicy potężny rząd rzadko ustawionych kolumn. W samym środku gmachu właściwa wanna, w której chrzczono dzieci. Ogromny puhar z marmuru, nad którego brzegiem siadły cztery marmurowe gołębie. Ztąd widać wielkie, nieżłobkowane, korynckie kolumny, odstające od zacienionego tła krągłego zewnętrznego muru. Nad niemi dźwignęły się silniejsze już łuki, a nad łukami spoczęła krągła, cienista kopuła. Gmach to kolisty i krępy, widny i możny jak gmachy rzymskie. Ale w niem z romańska stoją i żyją prawdziwe kolumny. Mur wewnętrzny nie w dekoracyą ubrany, a prawdziwa architektura stanęła na wewnątrz i groźnie i żywo; słowem życie prawdziwe i prawdziwa prostota, obce starorzymskim gmachom, tu zapanowały.

Prócz chrzcielnicy i kościoła, trzeba było jeszcze postawić dzwonnicę, wieżę, coby na modły wiernych zwoływała. Stanęła tedy w tyłach kościoła, uzupełniając cudny zbiór gmachów, stanowiący Piazzę pizańską. Bo Piazzami zwą Włosi takie gmachów zbiory.

Dzwonnicę ową: „*Campanile*“, jak mówią Włosi, stawiał już pod koniec dwunastego wieku mistrz *Bonano*. I ona wtórem tego, co widać na katedrze i chrzcielnicy. Gmach to cały z białego marmuru, krągły, siedmiopiątrowy.

Każde piętro otoczone klasztorkiem kolumn i łuczków, takim jak na fasadzie katedry, jak we wnętrzu kościoła i chrzcielnicy. Tylko tu wszystkie szczegóły drobne i wdzięczne. Jedno ostatnie piętro mniejsze od innych, a cały gmach jaśnieje ładem, prostotą, lotnością klasztorów i lśniącą barwą marmurów. Tu podobnie jak w chrzcielnicy wszystko konsekwentne i logiczne, choć w chrzcielnicy groza, a tu wdzięk panuje. Mistycyzmu nie masz prawie, za to masz dziwactwo, a to dziwactwo przypomina znów wierzącą w cuda wyobraźnię średnich wieków. Wieża owa krzywa, krzywa zupełnie, pochyliła się na jeden bok i w sposób niemiły dla nas grozi upadkiem. Trzyma ją tylko jakby cud, jakby łaska Boża, i tego pozoru chciały średnie wieki, dumne zresztą i z tego, że taki karkołomny pozór zdołały sztuką wieży nadać. Wieża owa to naród okazały kolumn i łuków, coby runął natychmiast, gdyby nie moc ciągłego cudu. Takim narodem, taką wieżą była w wyobrażeniu ówczesnym ludzkość.

Piazza Pizańska najdoskonalszym przedstawicielem stylu romańskiego w Toskanie. Dodamy tu tylko, że wszędzie rade się powtarzały liczby pięć i siedm. Siedm piątr, pięć piątr, siedm łuków, pięć kolumn, oto częste proporcye. Liczby te miały znaczenie mistyczne, a prócz tego były łatwo ujęte i nie dawały się dzielić. Jeden, trzy, pięć i dziewięć, są to jedyne liczby niepodzielne. Wszystkie inne dają się na nie rozłożyć. Oko mimowoli je lubi, ukochała je romańska wyobraźnia.

Widzimy, że wspomniany styl przez cały wiek 12ty trwał niezmieniony. To samo można jeszcze i o większej części trzynastego wieku powiedzieć; i z tego pochodzi, że choć wielka ilość budynków znakomitych w tej epoce w Toskanie powstała, nie ma pomiędzy nimi żadnego, którybу dla nas był ciekawszym. Pizańscy budowniczowie roznosili swoję sztukę po miastach sąsiednich, nie tworząc nic nowego, póki jeden z nich *Giacobo della Quercia*, nie zaczął w Sienie budować katedrę w sposób dotąd nieznany. I on jednak, podobnie jak *Rinaldo*, choć był twórcą nowego stylu, starszego gotycyzmu toskańskiego, tylko nowy układ szczegółów wymyślił, szczegóły i ze starożytności, i ze Wschodu i z Północy wypożyczając. (C. d. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

Anglik skończył swoję odpowiedź, złożył ją, zakleił kawałkiem gumy drzewnej, którą wyszukał w kieszeni kamizelki — i nie rzekłszy słowa, oddał ją z dwoma funtami szterlingów kawasowi konsulatu.

Mieliśmy na pokładzie dwa miejsca, stosownie do pory dnia: gdy nas słońce spędzało z jednego, zajmowaliśmy drugie; zmieniliśmy położenie, tą razą spieszniej niż zwykle, po prostu, aby znaleść się na drugiej stronie kotła, gdzie się Anglik usadowił, — i dokończyć inspekcyi, którą rozpoczęliśmy.

Miech wojażera był rozwiązany, i wszystko z niego wydobyte leżało w około właściciela. Żeby na próżno nie trudzić czytelnika wyliczaniem szmat i różnych starych rupieci, które uderzyły nasze oczy, powiemy, że nigdy kosz szyfoniera paryskiego, wracającego rano do swego mieszkania po nieszczęśliwem całonocnem pracowaniu haczykiem, nie był bogatszym i bardziej urozmaiconym. W miechu Anglika była kuchnia, pralnia, szwalnia, arsenał szewski i rymarski — i magazyn materyałów na lat parę do łatania odzieży. W pośród chaosu starzyzny, dziwnie odbijało parę instrumentów geodezyjnych, służących do pracy bardzo ścisłej... i jakaś książka sporego formatu, pięknie oprawiona w zielony aksamit, tu i ówdzie wytarty, przewiązana wstążką dekoracyi wysokiego stopnia.

Żeby niedelikatną ciekawość naszą czem pokryć, siedząc po turecku na naszych dywanach i materacach, ustawiliśmy wojskiem szachownicę i rozpoczęliśmy partyą...

„Szach królowi“—rzekłem posuwając laufra i obserwując kawałki potłuczonej tabliczki szyfrowej, na których Anglik pisał szybko maleńkim odłamkiem, i zapisawszy je po obudwóch stronach składał jedne na drugich. Na szach królowi, ręka piszącego zatrzymała się nagle, a oczy jego zwróciły się na szachownicę: „Gambit Kunighama źle prowadzony“—bąknął pod nosem Anglik i zabrał się znowu do pisania. W magazynie jego znajdowało się z piętnaście grubych zwitków najrozmaitszych dzienników — jeden z nich wziął Anglik i roztworzył — spostrzegliśmy, że był cały zapisany czerwono w poprzek druku — na ostatniej kartce nie tkniętej, zaostrzywszy kawałek lubryki, począł Anglik kopiować, co zredagował na odłamkach tabliczki. Wyżej ekonomii, i sztuki zużytkowania rzeczy na nic się zdać nie mogących, posunąć nie można!

— Za czwartem posunięciem mat! — Anglik położył zwitek na ziemię, przycisnął go blaszanym kociołkiem z powyszarpywanemi brzegami, snać żeby go wiatr nie porwał do Eufratu, wyciągnął szyję, i po raz drugi rzucił oko na szachownicę...

— Co za śliczna końcówka! — zawołał nagle, dwoma skokami dobywając się z pomiędzy swoich rupieci, i przyklękując przed naszą szachownicą: Mat w dwóch posunięciach, i to pan właśnie, który go zapowiadasz w czterech. — Nie przypominam sobie, żebym w życiu mojem widział kiedy twarz bardziej ożywioną natchnieniem, jak twarz w tej chwili Anglika, ujętą w obie ręce oparte na kolanach. — W dwóch posunięciach! w dwóch... co za pyszna końcówka!... Piękna jest moja ostatnia partya, którą wygrałem przed chwilą; patrzcie panowie! — Anglik podskoczył do swego magazynu i przyniósł ową książkę w aksamit oprawną, była to szachownica składana z figurami na sztyftach, stawiały się w dziurki pól, można było ją zamykać nie niszcząc gry — Patrzcie, czarne są moje... położenie rozpaczliwe... a idzie o 3000 funtów...! oto telegram .. atakują mnie białym konikiem... usuwam się, patrzcie panowie... pod królową... tracę ją... i przegrałem? Nie panowie!... patrzcie moją odpowiedź... tym oto pionkiem dochodzę na ostatnią linię... zamieniam go na konika i daję białym mata. Przed rokiem zacząłem tę partyę w Kalifornii a wygrywam ją na Eufracie, jedenaście dni później dzięki telegrafowi tureckiemu! Szybko Anglik na kawałku żurnala wynotował położenie gry naszej, włożył ją do swojej szachownicy i odszedł na swoje miejsce i najspokojniej oddał się przepisywaniu, które mu przerwałem mojem: mat za czwartem posunięciem!

Łamaliśmy sobie głowę parę godzin bezskutecznie; aż nareszcie wpadliśmy przypadkiem na mat w dwóch cugach!... był rzeczywiście piękny — na nieszczęście, żadnej w tem nie było naszej zasługi... nie widzieliśmy go.

Zdawałoby się, że po tem wydarzeniu szachowem, jak mówią Francuzi lody były przełamane i znajomość z excentrycznym towarzyszem podróży, jeśli nie zrobiona to przynajmniej droga do niej ułatwiona została; i my tak sądziliśmy... ale wkrótce spostrzegliśmy naszą pomyłkę.

Nie widząc pomiędzy przedmiotami, które napowrot Anglik spakował do miecha, niczego coby podobnem było do jedzenia — odważyłem się zapytać go, czy wie o tem, że pasażerowie muszą się sami w żywność zaopatrzyć — że na całej długości Eufratu dwa czy trzy małe spotkamy miasteczka, gdzie nic dostać nie można — że podróż może się przeciągnąć do miesiąca, jeżeli nie więcej... Anglik spojrzał na mnie — uśmiechnął się, ale tym uśmiechem, który powiada.. pilnuj swojego nosa... i rzekł: bardzo wdzięczny jestem za przyjacielskie zapytanie się... mówiono mi o tem w Bagdadzie, zkąd zapewne i panowie na statek przybyliście — i po tej grzecznej odprawie zabrał się do pisania na swoich kawałkach połamanych tabliczek. Nie było co robić — ale pomyślałem sobie — czas odkrywa wszystko — a mam go wiele przed sobą, może i ten oryginalny, tajemniczy wyspiarz, odkryje sam jakąś szczelinę, przez którą zajrzeć będzie można do jego serca lub głowy.

Słońce tymczasem chylić się poczynało ku zachodowi, upał ustał, nie widzieliśmy żadnego ruchu około machiny, kapitan przesuwając między palcami o grubych ziarnach bursztynowy różaniec, przechadzał się po pokładzie, podsunąłem się do niego i zagadnąłem: Styszysz effendim, jak tam frankoliny *) śpiewają? Poszedłbym zabić którego, ale się boję, żebyś mi figla nie wypłatał i nie odpłynął bezemnie. — I słusznie, bo ja gwiżdżę raz, dwa, trzy — hajdi, arsz — a kogo nie ma to nie ma! Ale na pół godzinki możesz pan się oddalić. I ja tak myślitem, nie masz admirale pary — Turek pogłaskał się po brodzie — a zdaje mi się nawet ognia na statku, bo ci Arab z lądu przyniósł węgielek do nargilli. Nie ma pary, nie ma pary! na bilizsyniz? — (co ty wiesz?) — gwizdnę raz, dwa trzy i hajdi arsz! — a potem co? Nie będziesz admirale tak nielitościwy — pamiętaj, że dzielę się zawsze pieczystem i czarką mastyki, jestem dobry jołdasz — (towarzysz podróży) — „Dam ci czausza, sam nie chodź, okolica nie zbyt pewna — jak sokoł z pod obłoków, tak beduin wypada z pod trawy, z pod piasku.“

W parę minut, zwabiony śpiewem frankolina, przesuwałem się za jego głosem pomiędzy gąszczami jakiegoś krzewu z familii groszkowych, uzbrojonego nieznośnemi kolcami zapędziłem śpiewaka po długiej gonitwie w klin zarośli, skąd wyparowałem nareszcie dwóch pięknych kogutów: paf, paf i dwóch strąciłem z powietrza w kępy traw. Jednego znalazłem zaraz, z drugim nie było tak łatwo. Gdym go szukał starannie, odgarniając strzelbą powikłane gęste trawy, wyraźnie zasłyszałem opodal szum, niby przewijającego się węża, i przyszła mi na myśl przestroga kapitana, obejrzałem się za moim czauszem i jednocześnie dobyłem rewolwer, rzuciwszy okiem po szerokim stepie. Czausz mój o kilkaset kroków odemnie pełznął do stada grzywaczy, usłyszałem znowu szelest w trawach i wyraźnie mi się zdawało, że z nich coś błysnęło niby nóż, lub koniec arabskiej lancy. Nabiłem strzelbę i szukałem dalej mego frankolina, ale już z pewną ostrożnością. Znalazłem go nareszcie, udałem się za drugim, który się opodal odezwał i podchodząc do niego, zdziwiłem się widząc na małym pagórku naszego Anglika, którego poznałem po czerwonej kurtce i ogromnym białym zawoju jego kapelusza. Udało mi się ubić jeszcze dwa frankoliny; — czausz napełzawszy się do woli do grzywaczów, których nigdy na strzał mieć nie mógł, podszedł do mnie przypominając mi, żeśmy się znacznie od Eufratu oddalili, i że czas do statku powracać. Pokazałem mu Anglika i miałem właśnie go zawołać, kiedy nagle mi znikł z oczu czarnym jakimś przedmiotem nakryty i jakby wciągnięty w głąb trawy, która go pochłonęła. „Beduini! beduini!“ krzyknął jednocześnie czausz — to burnus mu zarzucono na głowę, prędzej! prędzej na pomoc! Pognaliśmy, ale nim dobiegliśmy pół drogi, już czerwona kurtka na powrót wypłynęła z trawy i wyspiarz wolno ku nam począł zmierzać, zatrzymaliśmy się więc pewni, że się mu nic nadzwyczajnego złego stać nie musiało; kapelusz tylko niósł w ręku, a turban przewieszony przez plecy. Co panu się stało? Nic, to byli beduini. Narobili mi wiele nieporządku i na tem się skończyło, pomieszali mi tabliczki, na których pisałem, i zdaje mi się, że mi jednę w trawach zawieruszyli. — Czy być może. Zkądże się wzięli? — Zkąd się wzięli? nie umiem pańskiej ciekawości zaspokoić, i sam bym to rad wiedział. Zawinęli mnie w jakąś płachtę i nie wiem jakim cudem, w mgnieniu oka wyrzucili z niej w trawy już bez koszuli. Cha! cha! cha! możecie sobie państwo wystawić straszny zawód rabusiów, gdy się przyjrzeli swojej zdobyczy; a na szczęście miałem jeszcze kawałek słoniny, który ich dobił. Skorzystałem jednak na tem spotkaniu, kupiłem sobie od nich kilkanaście łokci sznurka z koziej sierci. Jakto? więc pan miałeś pieniądze i nie zabrali ich? O nie! zaproponowałem im zamianę, miałem na kapeluszu krążek żółtej świecącej się blachy, i dobiłem targu; doskonałe sznurki! — Cieszy mnie niewymownie, że się na tem skończyło, że jeszcze i pan zadowolony — a mogło być gorzej. — Bynajmniej! pan nie rozważnie zapuszczasz się w kraj dziki; sądzisz częstokroć słusznie, że cię strzelba i rewolwer obroni, ale pomimo strzelby i odwagi można być podchwyconym, — dzban wodę nosi aż mu się ucho urwie — co do mnie, wiem o tem z doświadczenia, zmieniłem system i mogę panu ręczyć za jego dobroć, wierz mi pan: goły nie boi się rozboju. Pańska dubeltówka, którą myślisz zagrozić, może być najlepszą przynętą. Wątpię gdyby panu na głowę znienacka jak mnie, płachtę narzucono, czybyś strzelby twojej mógł użyć, a jeszcze bardziej wątpię, żebyś mógł spokojnie powracać i do tego zadowolniony jak ja z kupna. Zresztą różne są sposoby podróżowania — znam wszystkie i z doświadczenia chwyciłem się najpewniejszego. Mam doświadczenie gruntowne; na pustyni Mezopotamii, na stepach Sybiru, pomiędzy Kaframi, to najpewniejszy sposób. — W Syberyi? pomiędzy Kaframi? Tak jest! — odrzekł z uśmiechem zadowolenia Anglik — byłem tam poszedłem i wróciłem tak, jak mnie widzisz teraz. Rozbójnik i policyant, to dwie najstraszniejsze plagi, na jednego radykalny środek golizna, na drugiego paszport. Jednak, licząc swoje tabliczki w kapelusz zebrane, dodał podróżnik półgłosem: sposób ten kosztował mnie z kilkaset wiorst nałożonej drogi, aż w końcu jakiś grzeczny policyant dorzucił do mojego paszportu słówko, które mi szeroko moskiewski świat otworzyło. Na pokładzie pokażę panu mój paszport. Przepraszam, muszę się wrócić, braknie mi aż trzech tabliczek, nie mylę się, cztery razy je policzyłem. Rozeszliśmy się w przeciwne strony, w godzinę dopiero po mnie, już dobrze o zmierzchu znalazł się Anglik na parowcu ze sporym pękiem rozmaitej grubości tamadyszkowych prętów.

(C. d. n.)

*) Francolinus vulgaris, ptak należący do kur (galinaceae), jest wielkości naszego jarząbka — samiec pysznie upierzony, Francolin obyczajami zbliża się do bażanta, — ale mięso jego jest z pewnością delikatniejsze.

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

STUDYUM A. G. BEMA.

Lat temu z górą dwadzieścia, p. Tyszyński, na wstępie do szczegółowej utworów Bohdana oceny *), stawia sobie jeszcze podyktowane przez okoliczności pytanie: „jest-że on poetą?“ — a broniąc go od spółczesnych zarzutów drobiazgowości, niesmaku, przesady stylistycznej, rozstrzyga kwestyę jak najzupełniej na korzyść ukraińskiego piewcy. Dziś nietylko poetyckie powołanie, ale i oryginalność Zaleskiego jest raczej przedmiotem powszechnej narodowej wiary, niż osobistego

*) „Rozbiory i krytyki“ tom III. Petersburg 1854.

pojedyńczych krytyków zwątpienia. Jak łatwo nam wszystkim uznać w nim poetę, tak też i nie trudno zrozumieć, że polem jego twórczości nie jest ni dramat, ni nawet epos, lecz jedynie poezya życia wewnętrznego, obrazujące się artystycznie natchnienia i poglądy osobiste, słowem — liryka. Liryka ta nie jest wprawdzie zupełnie wolną od pierwiastków powieściowych, a nawet dramatycznych; gdy jednakże wyrazy egotycznych uczuć i myśli, gdy całą podmiotowość poety na jednej zważymy szali, wszystko zaś, co w jego piosenkach w zakres epiki i dramatu wkracza, na drugiej, to niebawem — mimo wszelką różnicę poglądów, jaka między czytelnikami Zaleskiego panuje — wyznać będziemy musieli, że żaden może z naszych poetów nie zamyka się tak wyłącznie w granicach liryzmu, żadnego eteryczna *jaźń-królowa* nie wybija się na wierzch z równą jednostajnością z po za powiewnej obrazów i opowiadań tkaniny. Zdanie to powszechne podziela i p. Tyszyński, który w swej rozprawie kilkakrotnie naddnieprzańskiego teorbanistę ściśle *podmiotowym* poetą nazywa.

Wobec tej jednozgodności w podstawowym na twórczość Bohdana poglądzie, nie jednemu z czytelników dziwnem się może wyda wprost przeciwne zdanie, jakie przed dwunastu laty wygłosił utalentowany zkądinąd znawca naszej literatury, p. Spasowicz*). „Nie ma, mówi on, ani jednego w dziejach literatury polskiej pisarza, któryby w takim, jak Zaleski, stopniu, zbliżył się do ideału *przedmiotowej* („objektiwnoj“) poezyi, któryby do swych utworów tak mało własnego, czysto-osobistego pierwiastka („sobstwiennaho, licznaho“) wnosił..“ Opinia taka o Bohdanie tembardziej na pierwszy rzut oka zadziwia, iż autorowi znane są w oryginale poetyczne płody Zaleskiego. Odczytawszy jednak cały ten o naszym poecie artykuł, spostrzegamy, że kwestya sporu, jakibyśmy p. Spasowiczowi wytoczyć mogli, ogranicza się jedynie do ciemnego pojmowania objektywizmu w poezyi, którego symbolem, jak się domyślać wolno z określających w dalszym ciągu twórczość Zaleskiego porównań**), ma być między innemi mityczna „arfa eolska.“ Objektywizm więc artystyczny, owa napróżno częstokroć oczekiwana przedmiotowość twórczego ducha, koronna chwała poety, któremu tak trudno zapomnieć o sobie, ów wieniec laurowy Szekspira, byłby, podług spółautora historyi słowiańskich literatur, biernością tylko psychiczną, jakimś *omanem* stepowym, talentem odwrotnego fotografowania na tle czułej wyobraźni rozlicznych szczegółów świata zewnętrznego...? Nie! tego przypuścić nie mogę, i zostawiam spór na stronie, bo jakoś mimowoli ciśnie mi się pod pióro, niby wieszcza przestroga, liczące dwa już blisko wieki zdanie Locke'a, który powtarza, iż „ustawiczne mnożenie się i zaciętość dysput ma swe główne źródło w złem użyciu wyrazów.“

Bohdan Zaleski jest więc w całem znaczeniu tego słowa poetą lirycznym i jako taki — podmiotowym. Miłość ukraińskiego nieba, ukraińskich porohów i stepów, gorąca pamięć niemowlęcych pamiątek, dziejowe echo wszechsłowiańskiej przeszłości i pewnych dawno zagasłych epok uwielbionego przezeń Naddnieprza, a nad tem wszystkiem zaślubiający się co chwila z wrodzoną tę sknicą — spokojny błękit religijnych wierzeń — oto dusza wszystkich utworów Bohdana, oto jego natchnień ognisko. Zaleski śpiewa za ludem i z ludem, a śpiewa zawsze po swojemu. Mimo jednak ludowego nastroju, mimo dźwięczących często w jego piosenkach gorętszych wspomnień rodzinnych i plemiennych, niby ech spadającej od czasu do czasu na ograną lirę łzy przyjaciela, syna lub narodowca, jest on dziś dla ogółu postacią na samotnem przebywającą ostrowiu, tajemniczem widmem jakoby żywcem zagrzebanego lirnika, którego wszyscy podziwiali, wielu naśladowało, a nikt może jako piewcę nie pokochał.

*) „Obzor istorii słowiańskich literatur“ Pypina i Spasowicza. Petersburg, 1865.

**) „...rzec można, iż Zaleski nie panuje nad materyałem, lecz na podobieństwo żwierciadła lub arfy eolskiej cały pod jego wpływem zostaje..“ (str. 465).

* * *

Bohdan Zaleski urodził się 14go lutego 1802 r. w okolicy naddnieprzańskiej (po tej stronie Dniepru) we wsi Bohaterce, położonej nad wpadającą do Dniepru rzeczką Sobem. Latorośl osiadłego tu oddawna szlachecko-polskiego domu, rozwijał się on od pierwszego dni brzasku śród wyjątkowych warunków, które niewieścią duszę, powoli tęskną, a lotną piewcy ukraińskiego zaprawiały zadumą. Dzień urodzenia Bohdana (2go lutego podług starego stylu) był dniem śmierci jego matki, Maryi. W religijnej „na dzień gromniczny“ pieśni, zwracając myśl pobożną do ducha zmarłej rodzicielki, sam się poeta „ledwie“ przez matkę „pożegnanem,“ „pogrzebowem, gromnicznem dzieciątkiem“ nazywa.

Chata starego pasiecznika, znachora, gdzieś śród dzikiego gaju, w pobliżu słynnej Iwanhory drzemiąca, zastąpiła rodzinny dom sierocie*). Oto wyjątek z Bohdanowego za tem ustroniem „Westchnienia“:

„Po za dworem, na prawo,
Jest gaj piękny i dziki,
Tam zdrój bieży murawą,
W drobne dźwięczy kamyki.
„Wyżej — góra na lewo,
I krzyż na niej złamany,
A za krzyżem tuż drzewo,
A na drzewie bociany.
„Jakże ziemia tam wszystka,
Jak w żwierciedle odbita,
Od księżyca do listka
W mej pamięci rozświta.“

„Matka-Ukraina“ nie okazała się macochą dla osieroconego dziecka. Jej stepowe, różnobarwnem kwieciem zdobne, uroczyskami pomarszczone oblicze, wraz z podzwaniającą tajemniczym echom powietrznym symfoniom „kazek“ ludowych, było pierwszą mistrzynią „gęślarza-guślarza.“ Rusałka-przyroda zastąpiła matkę, a poczucie samotności, wywołujące rzewną łzę na oko, spotęgowało poetyczny urok otoczenia:

„Świta komuś dzień boleści...
Od kolebki wprost na groby,
Mknie kochany cień niewieści,
Pierwszy uśmiech do żałoby!...
Więc i ona — nie popieści!...

„Czas wiośniany inszym miły,
Jemu, patrzaj, wietrzny, luty,
Dziecię goni na mogiły,
Czemuś słucha smutnej nuty,
Lub się tuli do ołtarzy;“

*) Zagadkowy poniekąd pobyt przyszłego poety, a szlacheckiego dziecka, w wieśniaczej lepiance, objaśnia p. F. H. L. (patrz Encykl. powsz. Orgelbranda większa) w następnych słowach: „Pierwsze lata życia spędził w chacie wieśniaczej pod okiem prostego ukraińca, gdzie go rodzice (?) w tej nadziei oddali, że w ą t ł e dziecięcia z d r o w i e wzmocni się życiem natury.“

W 13ym roku życia oddano go wreszcie do szkół bazyliańskich w Humaniu. Samotny dotąd przyszły wieszcz polski zetknął się po raz pierwszy z miniaturowym światem — z drużyną spółuczniów. Wyrobiony pod wpływem życiowych warunków liryzm charakteru znalazł tu niebawem właściwe dla siebie ujście w chłopięcej pieśni i bratnim uścisku; a „serca niebiańskie poi wesele, kiedy je razem nić powiąże złota“:

„Patrzaj w szkole!
Z nieba spada nań nauka;
O czem inszem śni pachole,
Na około do serc puka:
„Do mnie, do mnie — tu — rówieśni!“ *)
Co dusz czystych w siebie chłonie,
Jako wrotki swojej pieśni —
Pieśni żywej, w dłoniach dłonie
Wszystkie — wiąże na swem łonie.

O lat 5 młodszy od naszego poety niedawno zmarły pisarz ukraiński, Aleksander Groza, dostarcza w swej „Mozajce kontraktowej“ (Wilno, 1857) niektórych z tej epoki życia Bohdanowego szczegółów. Szczegóły te jednakże, jako zbyt pobieżne i nie rozwinięte, nie wiele nas pouczają. Autor, przeskakując co chwila z przedmiotu na przedmiot, z jak najdrobniejszych rzecby można swą mozajkę chce ułożyć kamyczków... Że jednak skąpe nam o Zaleskim podał wiadomości, jedna go dość ważna usprawiedliwia okoliczność. Zaleski bowiem wraz z Goszczyńskim i Grabowskim — owa serdeczna trójka, śród której (jak w jednym ze swych „pyłków“ śpiewa Bohdan) „odgrywa się osobne niejako poema“ — byli już czwartoklasistami i dyrektorami młodszych chłopiąt, podczas gdy Aleksander Groza, jako uczeń klasy pierwszej, do tych ostatnich się liczył. „Dobrze (mówi Groza) pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego. Byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski — blondyn, twarzy białej, pięknej, oczu błękitnych, wzrostu miernego — chodził w bajówce zielonej. Goszczyński — wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospowatej, ale przyjemnej, oczu nie wielkich, żywych — nosił bajówkę koloru piernikowego. Przed naszą stancyą leżał duży kamień: Goszczyński wchodząc zawsze musiał na nim skrzesać ognia podkowami. O nich już w szkołach mówiono, że najlepiej wiersze pisali.“ „Ileż razy (powiada w innem miejscu) słyszałem Zaleskiego wiersze deklamującego! bo on prawie ciągle coś deklamował. Raz w pierwszej stancyi brat mój siedział na łóżku, a Bohdan Z. stał przed nim w pokornej postawie i deklamował; w końcu obadwaj rzucili się sobie w objęcia. Nie rozumiałem, o co im szło; ale to co mówił Bohdan, było bardzo czułe, bo i mnie się łzy z oczu puściły. Potem dowiedziałem się, że to była prośba Pryama za ciałem Hektora, a mój brat prezentował Achillesa, i widać, że prośba skutek wzięła, kiedy proszący i proszony tak się serdecznie uścisnęli. Na przechadzkę najczęściej chodziliśmy do Zofiówki. Dyrektorowie, będący ze sobą w przyjaźni, zazwyczaj szli razem, to też i ich uczniowie jedną grupę składali, nie rzadko kilkadziesiąt osób liczącą. Dla mnie ta przechadzka najmilszą była w sobotę, bo wtedy Zofiówkę nie przepełniał tłum spacerujących... Raz w taką sobotnią, wiosenną przechadzkę Goszczyński i Zaleski sprzeczali się, zkąd widok był piękniejszy? czy

*) Domyślamy się, że te cudzysłowem u Zaleskiego opatrzone słowa, wchodziły w skład jakiejś nieznanej, chłopięcej z owego czasu piosenki.

od posągu Belizaryusza, czy od wazonu. Za pierwszym był Goszczyński, za drugim Zaleski. Tomaszewski (później doktor medycyny, stale mieszkający w Humaniu) i Gałęzowski (później jeden z najsłynniejszych chirurgów-lekarzy) mieli ten spór rozstrzygnąć; szli naprzód do Belizaryusza, a my, drobiazg, szliśmy za nimi. Wspaniały posąg stał w cudownem miejscu. Nad nim się wznosiła góra, w połowie lasem pokryta, przed nim ślicznego strumienia źwierciadło i ściana olbrzymich skał zwalonych na siebie... Nie dziwię się, że poeta, co napisał *Zamek Kaniowski*, i *Króla Zamczyska*, ten widok nad inne upodobał. Poszliśmy do wazonu postawionego w sadzawce, obłożonej różowym, szlifowanym granitem: ogromny wazon także z różowego granitu zawsze napełniony najpiękniejszemi kwiatami. W sadzawce igrają złote, srebrne, czarne, pąsowe rybki chińskie; naokoło sadzawki zielony dywan trawnika, prześcielający się do strumienia.... Ustronie to, jakby wyjęte z Arkadyi: ciche, piękne, urocze, jak muza Bohdana, harmonijne, jak jego wiersze. Złote i srebrne rybki — to jego dumki, piosenki, przebłyskujące najświetniejszemi barwami. Któremu widokowi sędziowie przyznali pierwszeństwo — nie pamiętam, bo temu tylko z górą lat 20."

Oto wszystko, co mówi Groza o pobycie Zaleskiego w Humaniu.

W r. 1819 zakończyła się szkolna u OO. Bazylianów mozoła; poczem poeta rok niespełna, jak się domyślamy, przebywał w wiejskiem na ojczystych łanach ustroniu. Była to pora pieni słowiczych i różanego kwiecia. Do niej też prawdopodobnie odnosi się początek tajemniczo tu i owdzie, najczęściej w związku ze słodkiem imieniem Zoryny, opiewanych dziejów serca:

„Na pustkowiu marzy — wzrasta,
A już za nim krasnolica,
Wiecznych smutków tajemnica,
We snach goni się niewiasta."

(C. d. n.)

STRASZNIE NIENAWIDZĘ PLOTEK!

Czy pani zna panią Różę?
— Przypominam doskonale.
— Wie pani, ten Jowisz w chmurze!
Ręce miała takie duże,
Kocha się w panu Michale!
— Nie widziałam jej oddawna;
Czy zawsze głupia jak cielę?
— Zawsze jest taka zabawna,
Ubiera się jak podlotek.
A! mówić by o tem wiele;
Ale ja nie lubię plotek.

— Wie pani losy Rafała?
— Czyżby nowy figiel żony?
— A! to jest historya cała!
Podobno go podrapała
Tak, że aż nos ma czerwony.
— Po ślubie, pani pamięta,
Jak się trzymali za ręce?
— Wiem, Rafał mówił: to święta!
Moja turkawka! mój kotek!
Cha! cha! cha! gadają więcej;
Ale ja nie cierpię plotek.

— A wie pani o Cyprynie?
— Słyszałam że u nich bieda.
W takim są okropnym stanie,
Że nie mają na ubranie;
To się i opisać nie da.

— Wiem, żona bieliznę łata,
Towary na kredyt biorą....
— Gorzej! bo sam pan zamiata.
Nawet bierze się do szczotek!
Mówią o tem w mieście sporo;
Ale ja nie słucham plotek.

— Zna też pani Władysława!
— Wiem, wiem, wiem, dostał odkosza!
— O! to jest zabawna sprawa,
To już na skandal zakrawa.
Wszak panna była bez grosza?
— Ale gdzie tam! nie to wcale,
Panna Emma nie jest biedną...
— Więc musi mieć jakieś ale!
Zapytam o nią jej ciotek.
Wprawdzie mnie to wszystko jedno;
Ale ja nie znoszę plotek.

— Ja tak samo, to rzecz zdrożna.
— Ma pani zupełną racyę,
— Nie wiem jak obmawiać można;
Ja jestem bardzo ostrożna.
Naprzykład: zna pani Gracyę?
— A jakże! skrzecząca czapla!
A pani zna siostrę Jana?
— O! ta, to wszystkich przepapla,
Język ma jak kołowrotek;
To samo Helena, Dyana...
Strasznie nienawidzę plotek!..

M. Rodoć.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Wschód słońca.

W miesiąc później — wieczorem 20 sierpnia Szymon i Madge żegnali się serdecznie z czworgiem turystów, opuszczających folwark.

Inżynier, Henryk i Jakób mieli poprowadzić Nelly na ziemię, której stopa jej nie dotknęła nigdy, w tę krainę podsłoneczną, której odwieczna lampa obcą jeszcze była jej wzrokowi, zaprawionemu od lat dziecinnych do ciemności.

Wycieczka miała przeciągnąć się całe dwa dni. Zgodnie z Henrykiem, inżynier uważał za właściwe, aby wciągu tych czterdziestu ośmiu godzin, młoda dziewczyna zobaczyła wszystko to czego nie mogła widzieć w posępnej kopalni, to jest aby świat przedstawił się jej jak w panoramie, gdzie miasta, i doliny, góry i rzeki, jeziora i oceany przesuwają się jak senne złudzenie przed okiem zdumionego widza.

Jakby umyślnie, część Szkocyi pomiędzy Glasgowem i Edymburgiem mieściła w sobie wszystkie te dzieła przyrody, a co do nieba, jest ono tam takie same jak wszędzie, z przelotnymi swemi obłokami, z jasnym lub zachmurzonym księżycem, z promiennem lub zamglonem słońcem, z milionowem wreszcie mrowiskiem mrugających gwiazdeczek.

Wycieczka więc mogła była zaspokoić wszystkie wymagania ułożonego z góry programu.

Szymon i Madge z przyjemnością towarzyszyliby Helenie; wiadomo jednak, jak trudno im było rozstawać się z kopalnią — i koniec końców, pomimo najlepszych chęci, nie mogli się zdecydować na opuszczenie na całe dwie doby ulubionej swojej siedziby.

James Starr brał udział w wycieczce w charakterze filozofa-spostrzegacza. Ciekawy był niezmiernie, ze stanowiska psychologicznego, jakie wrażenie wywrą na młodej dziewczynie poraz pierwszy w życiu oglądane przez nią cuda — a może też spodziewał się przy tej sposobności uchwycić jaki szczegół, mogący odkryć mu tajemniczą zasłonę, zawisłą nad młodocianemi jej laty.

Co do Henryka, ten z trudną do utajenia obawą zapytywał sam siebie, czy z przedsiębranej wycieczki nie powróci inna jaka, obca dla niego dziewica, zamiast tej, którą całem ukochał sercem.

Jakób wreszcie cieszył się jak młody ptaszek, wypuszczony na wiosnę z klatki, a miał przytem, nadzieję, że dobry jego humor udzieli się całemu towarzystwu, co byłoby z jego strony pewnym rodzajem odwdzięczenia się za dozwolone uczestnictwo w tak zajmującej wycieczce.

Nelly była zamyśloną i jakby zamkniętą w sobie.

Inżynier słusznie bardzo postanowił, że wyjazd nastąpi wieczorem. Zamiast bowiem nagłego przejścia z ciemności do blasku dziennego, co mogłoby szkodliwie wpłynąć na wzrok młodej dziewczyny — oczy jej z łatwością będą mogły znieść powolne stopniowanie światła począwszy od północy aż do południa.

W chwili gdy mieli opuszczać folwark, Nelly ujęła Henryka za rękę i rzekła doń:

— Powiedz mi, Henryku, czy koniecznie potrzeba, abym opuściła naszą kopalnię, chociażby tylko na parę dni?

— Koniecznie — odrzekł młodzieniec. — Wspólne nasze dobro wymaga tego.

— A jednak — mówiła dalej — od chwili, w której wyrwałeś mnie z objęć śmierci, byłam szczęśliwą, o ile to jest możliwem na tej ziemi. Dałeś mi wykształcenie. Czyż tego nie dosyć? Cóż będę robić tam na górze?

Henryk spoglądał na nią w milczeniu. Też same myśli i jemu przechodziły przez głowę.

— Moje dziecię — odezwał się na to inżynier — pojmuję twoje wahanie, ale nic nie zaszkodzi, że odbędziesz z nami tę wycieczkę. Skoro powrócisz, będziesz mogła gdy zechcesz, pozostać i nadal w kopalni, jak stary Szymon, jak Madge, jak Henryk — i prawie pewny jestem, że tak uczynisz. Ale przynajmniej będziesz wiedziała, co wybierasz, a co porzucasz. Chodź więc z nami!

— Chodź, moja droga! — powtórzył Henryk.

— Z tobą, Henryku, — odparło dziewczę — gotowa jestem pójść choćby na koniec świata.

O godzinie dziewiątej wieczorem ostatni pociąg wielkiego tunelu przeniósł ich na powierzchnię hrabstwa Stirling. W ciągu następnych dwudziestu minut przebyli niewielką odnogę kolei żelaznej łączącą kopalnię Nową Aberfoyle z linią Dumbarton-Stirling.

Ciemno już było zupełnie. Po dniu pogodnym i noc obiecywała być spokojną.

W Stirling towarzystwo nasze, zaraz po wyjściu z wagonu, opuściło dworzec kolei.

Przed niemi, wśród drzew rozłożystych, ciągnęła się droga wiodąca ku brzegom Forth'u.

Pierwszem wrażeniem, jakiego doznało młode dziewczę było zaczerpnięcie pełnemi płucami, świeżego ożywczego powietrza.

— Oddychaj swobodnie, moje dziecię — rzekł inżynier — wciągaj w siebie całą piersią te wonne, polne wyziewy.

— Co to za masy dymu unoszą się tam wysoko po nad głowami naszemi? — zapytała Nelly.

— To są obłoki — odpowiedział Henryk— czyli właściwie wodna para, na wpół zgęszczona i gnana w przestrzeń zachodnim wiatrem.

— Ah! jakżebym chętnie popłynęła na nich w ową dal niezmierzoną!... A cóż to za punkciki co błyszczą tak iskrząco po za niemi.

— To są gwiazdy, o których mówiłem ci nieraz. Każda znich, to słońce oddzielne, punkt środkowy licznych światów, podobnych może do naszej ziemi.

— Ależ, jeżeli są to słońca, czemuż światło ich nie razi oczu moich?

— Rzeczywiście, moje dziecię — objaśniał inżynier są to słońca, ale w niezmiernej odległości. Najbliższa z tysiąców tych gwiazd, których promienie aż do nas dochodzą, a którą spostrzegasz tu prawie u samego zenitu, odległą jest jeszcze od nas o pięćdziesiąt tysięcy miliardów mil. Nic dziwnego przeto, że światło jej nie jest rażące. Ale jutro rano ujrzysz nasze słońce odległe tylko o trzydzieści ośm milionów mil, a żadne ludzkie oko nie zdolne jest znieść jego blasku, tysiąckrotnie silniejszego od najpotężniejszego ogniska w piecu hutniczym. — Ale chodźmy dalej, Nelly!

Poszli ową drogą, wysadzoną drzewami. Inżynier prowadził pod rękę Nelly, Henryk szedł obok, Jakób zaś, jak młody piesek, wybiegał naprzód i powracał napowrót, niecierpliwiąc się powolnym krokiem rozmarzonej grupy.

Droga była pusta. Nelly przypatrywała się sylwetkom drzew uginających się pod powiewem wiatru. Ciągły szmer liści u wierzchołków, głęboka cisza panująca na dole, dalekie kończyny horyzontu, tem wyraźniej odznaczające się, gdy postępowali wśród rozległej płaszczyzny, wszystko to usposobiało młodą dziewczynę do poważnego milczenia, budząc w niej na każdym prawie kroku nowe, nie zatarte wrażenia. Z początku zarzucała towarzyszów swoich pytaniami; ale następnie zamilkła, oni zaś nie śmieli przerywać jej dumań. Nie chcieli słowy swemi wpływać na wrażliwą wyobraźnię dziewczyny. Pożądanem było, ażeby nowe pojęcia same przez się wytwarzały się w jej umyśle.

Około godziny wpół do dwunastej znaleźli się na północnem wybrzeżu zatoki Forth.

Tam oczekiwała na nich barka wynajęta przez inżyniera, a mająca w ciągu kilku godzin dowieść ich do edymburgskiego portu.

Nelly, spostrzegłszy rozległą płaszczyznę wody, rozwijającą się u stóp jej i błyszczącą jakby upstrzone tysiącami drzących gwiazdek — zapytała:

— Czy to jezioro?

— Nie — odrzekł Henryk — jest to obszerna zatoka o bieżącej wodzie, ujście rzeki i prawie odnoga morska. Zaczerpnij ręką trochę tej wody, a przekonasz się, że smak jej inny jest, aniżeli w jeziorze Malcolm.

Nelly schyliła się, zmoczyła rękę w wodzie i poniosła ją do ust swoich.

— To jest słona woda — rzekła.

— Tak jest — odpowiedział Henryk — bo wczasie przypływu morza woda morska aż tutaj dochodzi. Trzy czwarte naszego globu pokryte są taką słoną wodą.

— Czemuż więc woda w rzekach jest słodka, skoro ona powstaje także z wód morskich, unoszących się w postaci obłoków, a następnie spadających na ziemię?

— Bo sól ulatnia się podczas parowania wody — rzekł inżynier.

— Henryku! Henryku! — zawołała po chwili Nelly, ukazując na krańce horyzontu — co to za ogień czerwony tam się pokazuje?... czy to las się pali?

— Nie, moja droga — odparł młodzieniec— to księżyc wschodzi.

— Przepyszny półmisek srebrny — dodał Jakób — na który unoszące go duchy zbierają wszystką drobną monetę gwiazdeczek rozproszonych po firmamencie.

— Nie wiedziałem — zaśmiał się James Starr — żeś taki silny w porównaniach, Jakóbie!

— Eh, panie Starr! w porównaniu mojem nie ma nic znowu tak nadzwyczajnego! Czyż nie widzisz pan, że za ukazaniem się księżyca gwiazdy nikną jedna za drugą. Domyślam się więc, że wszystkie one spadają na jego tarczę.

— Czyli, właściwiej mówiąc, znaczy to, że przy jasnem świetle księżyca, bledną gwiazdy szóstej wielkości — nic więcej.

— Ah! jakżeż to wszystko piękne! — zawołała Nelly uniesiona zachwytem. — Ale ja sobie wyobrażałam, że księżyc jest zupełnie okrągły.

— Bywa okrągłym podczas pełni — tłómaczył inżynier, który przyjął na siebie rolę Mentora — ale dziś, w ostatniej kwadrze, widzimy go już zmniejszonym.

Księżyc tymczasem wznosił się zwolna na nieboskłonie. Na zenicie i w zachodniej stronie, na czarnem jeszcze sklepieniu niebios iskrzyły się liczne gwiazdy, bledniejące w miarę posuwania się księżyca. Nelly podziwiała w milczeniu wspaniały ten widok, ale ręka jej drżała w dłoni Henryka, zdradzając wewnętrzne wzruszenie.

— Siadajmy, moi przyjaciele — przemówił James Starr. — Kawał jeszcze drogi mamy do przebycia przed wschodem słońca!

Łódź przymocowana do pala kołysała się u brzegu. Siedział w niej sternik. Nelly i towarzysze jej zajęli miejsca. Podniesiono żagiel i łódź pomknęła chyżo popychana północno-zachodnim wiatrem.

Jakżeż dziwne wrażenie owładnęło teraz Heleną. Jeździła ona niekiedy łodzią po jeziorze Malcolm, zawsze jednak przy wycieczkach podobnych czuć było drganie łódki wskutek poruszeń wiosła jakkolwiek zręczną Henryka ręką kierowanego. Tu, po raz pierwszy czuła się Nelly unoszoną z lekkością, jakby na skrzydłach balonu, prującego powietrze. Zatoka gładką była w tej chwili jak jezioro. Od czasu do czasu promień księżyca przedzierał się przez gałęzie drzew nadbrzeżnych i zdawało się, że łódź mknie po srebrzystym mieniącym się obrazie. Cichy szelest wody rozbijającej się o brzegi, łagodne kołysanie łodzi, usposabiały do marzeń; na wpół leżąc w tylnej części statku, Nelly nie mogła oprzeć się nowym dla niej wrażeniom.

Po niejakiej chwili przecież oczy jej przymknęły się mimowolnie. Ogarnął ją pewien rodzaj upojenia. Głowa jej osunęła się na pierś Henryka — i zasnęła spokojnie.

Henryk chciał ją zbudzić, aby nie straciła żadnego szczegółu z przepysznej tej nocy.

— Pozwól jej spać spokojnie — rzekł do niego inżynier. — Parę godzin spoczynku, wzmocnią ją i lepiej usposobią do przyjęcia rozlicznych całodziennych wrażeń.

O godzinie drugiej nad ranem przypłynęli do Pier-Granton. Nelly obudziła się, gdy łódź przybijała do brzegu.

— Zasnęłam? — zapytała zdziwiona.

— Nie, moje dziecię, — odpowiedział z uśmiechem inżynier. — Tylko śniło ci się, żeś spała.

Noc wyjaśniła się już teraz. Księżyc w połowie swej drogi pomiędzy horyzontem i zenitem rozpościerał jeszcze swe promienie na całe sklepienie niebios.

W maleńkim porcie Granton znajdowało się zaledwie kilka łodzi rybackich, kołyszących się na spokojnych wodach zatoki. Przy nadchodzącym poranku wiatr zmniejszył się cokolwiek i wszystko zdawało się zapowiadać jeden z owych rozkosznych dni sierpniowych, tem milszych jeszcze w pobliskości morza.

Henryk podał rękę Helenie. Inżynier i Jakób szli naprzód pustemi ulicami. Zdaniem Nelly przedmieście to stolicy było nie zbyt zajmującą gromadą posępnych domów, przypominających jej *Miasto węgla*, z tą tylko różnicą, że tutaj sklepienie było znacznie wyższe i upstrzone brylantowemi iskrzącemi punkcikami. Szła tak lekko i swobodnie, że Henryk ani razu nie potrzebował zwalniać kroku z obawy znużenia jej.

— Nie czujesz się zmęczoną? — zapytał ją po przebyciu półgodzinnej drogi.

— Wcale nie — odpowiedziała. — Czuję się tak lekką, jakbym nie dotykała ziemi. A ile razy spojrzę ku niebu tak wysoko wznoszącemu się po nad głowami naszemi, bierze mnie ochota ulecieć ku niemu, jak gdybym miała skrzydła!

— Powstrzymaj ją! — zawołał Jakób — bo ze sylfami nie ma co żartować; gotowa by naprawdę ulecieć nam! Ale, mówiąc seryo, i ja nie raz doznawałem takiego samego uczucia, kiedym przez dłuższy czas nie wydalał się z kopalni.

— Jest to skutkiem tego — rzekł James Starr, że tutaj nie czujemy się przyciśniętymi niejako ponurem sklepieniem pokrywającem Coal-City. Zdaje nam się, że firmament niebieski jest głęboką przepaścią, ciągnącą nas ku sobie. — Wszak prawda, Nelly?

— Rzeczywiście, panie inżynierze. — Doznaję jak gdyby zawrotu głowy.

— Oswoisz się z tem prędko, — dodał Henryk. Przywykniesz do tych niezmiernych przestrzeni i być może, zapomnisz o ponurych naszych podziemiach!

— Nigdy w życiu, Henryku!

I przycisnęła rękę do oczu, jakby w głębi duszy pragnęła przypomnieć sobie wszystko, co pozostawiła na dole.

Przebyli Leith-Walk, okrążyli Calton-Hill, gdzie wznosi się obserwatoryum i pomnik Nelsona, a przeszedłszy następnie ulicę Regent-Street i jeden most, znaleźli się nareszcie na rogu ulicy Canongate.

Najmniejsze jeszcze ślady życia nie objawiały się w uspionej stolicy. Druga godzina wybiła na gotyckiej dzwonicy kościoła na Canongate.

W tem miejscu, Nelly zatrzymała się.

— Co to za masa murów? — zapytała wskazując na odosobniony gmach wznoszący się w głębi niewielkiego placu.

— To Holyrood — rzekł inżynier — niegdyś pałac królów szkockich, pałac w którym odegranych zostało tyle strasznych dramatów! Wśród murów tego zamku, ileżto cieniów królewskich wywołać by mógł historyk, począwszy od nie-

szczęśliwej Maryi Stuart, a skończywszy na starym Karolu X królu francuzkim! A jednak pomimo tylu ponurych wspomnień, królewska ta rezydencya przy świetle dziennem nie wyda ci się zbyt posępną. — Ale idźmy dalej.

—Tam właśnie, w obrębie jeszcze dawnego opactwa Holyrood, wznoszą się przepyszne skały Salisbury, a ze szczytu najwyższej z nich, Arthur-Seat, chcę, aby oczy twoje ujrzały po raz pierwszy słońce, wynurzające się z głębin morskich.

Weszli do parku królewskiego. Następnie postępując nieznacznie w górę, przebyli wspaniałą drogę okolną, dostępną nawet dla powozów, a zbudowanie której wyjednał Walter-Scott kilkuwierszami jednego ze swoich historycznych romansów.

Prawdę mówiąc, Arthur Seat jest to pagórek wysoki zaledwie na siedmset pięćdziesiąt stóp, w przeciągu też nie całej półgodziny czasu, wygodną ścieżką, towarzystwo nasze dostało się na sam szczyt jego, podobny do lwiej głowy, gdy patrzy się nań od strony zachodniej.

Tam zasiedli wszyscy czworo, a inżynier, zawsze niewyczerpany w cytatach z ulubionego narodowego romansopisarza, przemówił:

— Oto co pisze Walter-Scott w rozdziale VIII *Więzienia w Edymburgu*: „Gdybym miał wybrać miejsce najdogodniejsze do przyglądania się wschodowi i zachodowi słońca, z pewnością nie wybrałbym innego punktu jak tylko wierzchołek Arthur-Seat'u.“ — Cierpliwości więc, Nelly. Wschód słońca nastąpi niezadługo i ty po raz pierwszy w swem życiu, będziesz mogła w całej okazałości podziwiać wspaniały ten widok.

Oczy młodej dziewczyny zwrócone były ku wschodowi. Siedzący obok Henryk spoglądał na nią z obawą i niepokojem, czy pierwsze promienie wschodzącego słońca nie wywrą zbyt silnego na Nelly wrażenia? Wszyscy milczeli, nawet Jakób nie odzywał się wcale.

Już po nad horyzontem odrysowała się blada linijka z różowym odcieniem; już resztki mgły nocnej ustępować zaczęły przed pierwszym dziennym brzaskiem — u stóp góry, uspiony jeszcze Edymburg, spoczywał pod oponą nocy, gdzie niegdzie tylko ukazywały się błyszczace punkciki, to światło w oknach biedniejszej ludności starego miasta; na zachodzie, gdzie tłumnie kupiły się nocne pomroki, zamykały horyzont dziwacznie powycinane sylwetki skał i gór, których wierzchołki jeden po drugim zapalały się złotym ogniem wschodzącego słońca.

Tymczasem, ku wschodowi, krańce morza coraz wyraźniej odznaczały się od horyzontu. Gra kolorów układała się tęczowym porządkiem na nieboskłonie, od różowej barwy u horyzontu, aż do ciemnego fioletu na zenicie. Z każdą sekundą niebieska paleta coraz większej nabierała żywości: kolor różowy w pons przechodził, pons stawał się ogniem gorejącym. Światło dzienne ustalało się ponad powierzchnią morza.

W tej chwili zaciekawione spojrzenia Nelly przebiegały od stóp pagórka aż do miasta, którego oddzielne części zaczęły się już wyróżniać charakterystycznemi grupami. Wysokie pomniki i wysmukłe wieżyczki świątyń coraz wyraźniej odbijały na jaśniejącem tle nieba, a jakiś pył świetlany zdawał się całą napełniać atmosferę. Pierwszy nareszcie promień światła olśnił oczy Heleny; był to ów promień zielonawy, wydobywający się z morza rano i wieczorem, jeśli horyzont nie jest zachmurzony.

W pół minuty później, Nelly zerwała się ze swego miejsca i wskazując ręką w kierunku nowszej części miasta:

— Pożar! — zawołała.

— Nie, Heleno — odrzekł Henryk — to nie jest pożar. To pomnik Walter-Scota, ozłocony promieniem słońca.

Rzeczywiście, szczyt wieżyczki pomnika, wysokiej na dwieście stóp, płonął w ogniu jak pierwszorzędna latarnia morska.

Już dzień był. Słońce ukazało się na horyzoncie. Tarcza jego, pozornie wilgotna, jak gdyby rzeczywiście wypłynęła z łona wód morskich i nieco podłużna z początku wskutek łamania się światła, przybrała powoli kształt kulisty, a rażące do niezniesienia jej światło wydało się jakoby ognisko olbrzymiego hutniczego pieca, rozpalone wśród niebieskich błękitów.

Nelly zmuszoną była zamknąć w tejże chwili oczy. Ale i delikatne powieki jej okazały się niedostatecznemi, przysłoniła je więc obu rękami jeszcze.

Henryk radził jej, aby odwróciła się w przeciwną stronę.

— Nie, Henryku! — odpowiedziała. — Oczy moje powinny oswoić się z tem wszystkiem, na co i ty spoglądasz.

Chwilę jeszcze patrzyła przez palce, następnie usuwała powoli rękę, a potem spróbowała spojrzeć bez osłony, a gdy już oczy jej mogły znieść blask dziennego światła, padła na kolana i wykrzyknęła z uczuciem:

— Boże wielki! jakże świat twój jest piękny!

Więcej mówić nie mogła ze wzruszenia. Usta jej szeptały jakieś niewyraźne słowa, ręce opadły, w głowie zaszumiało, siły ją opuściły — i wobec cudownego tego widoku, osunęła się bez czucia w objęcia Henryka. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Kilka listów o naszym przemyśle fabrycznym przez Bronisława Babla. inżyniera technologa. Przemyśl 1877. (str. 126.)

Trudno sobie pomyśleć publikacyi w stosowniejszej porze wydanej, jak dziełko p. Babla o przemyśle fabrycznym w Galicyi. Przemysł ten, jest u nas dotychczas w zastoju. Ale podobnie jak pierwsze promienie budzącego się słońca wiosennego naprzód tylko niewidzialne szczeliny porobią w zimnych lodowcach, lecz później ożywcze promienie stają się coraz skuteczniejszemi, coraz obfitszą strugą sączą się wody ze stopionych śniegowisk martwych, a z pod ich zimnego całunu wystrzela zewsząd rozkoszna zieloność i kwiecie, tak i u nas pod wpływem gorących słów ludzi myślących i miłujących kraj, powoli zaczynają tajać lody niedołęstwa i niedbalstwa o własne dobro materyalne, i wszędzie znać budzące się życie ekonomiczne. Najpierw pojawiały się po dziennikach sporadycznie artykuły, dowodzące potrzeby żywszego zajęcia się rozwojem przemysłu krajowego. Te głosy ginęły w tłumie zdało się bez śladu. Lecz z czasem coraz częściej, coraz bardziej przekonywujące, coraz liczniejsze i coraz poważniejsze koła zaczęły zachęcać do opiekowania się przemysłem, aż doszliśmy do tego, że przyszła obecnie do skutku wystawa krajowa rolnicza i przemysłowa, której zadaniem jest przedstawić wierny obraz tego, cośmy dotychczas osiągnąć zdołali na polu produkcyi, jak niemniej podać podstawę do ułożenia planu rozwoju tej produkcyi na przyszłość; sejm wyznacza kilka tysięcy zlr. w. a. na koszta sporządzenia takiego opisu wystawy, któryby wskazywał najwłaściwsze kierunki rozwoju przemysłu w sposób umiejętny.

Otóż uprzedzając podobny opis wystawy, zebrał p. Babel porozrzucane po rozmaitych czasopismach artykuły swoje o rozwoju przemysłu fabrycznego w Galicyi, oparte na gruntownej znajomości technicznego urządzenia fabryk, jak nie mniej na znawstwie ekonomicznych i społecznych właściwości naszego kraju, dodał do tych artykułów kosztorysy urządzenia i utrzymania w ruchu fabryk rozmaitego rodzaju i wydał to w książce, którą przed sobą mamy.

W tej książce przechodzi autor kolejno wszystkie surowe materyały, nie zużytkowane u nas dotychczas przemysłowo, i podaje obliczenia ile kosztowałoby urządzenie fabryk dla wyzyskania ich wartości, i jakich zysków spodziewać się można z wyłożonych na ten cel kapitałów. P. Babel oblicza najpierw widoki zyskowności fabryk drutu drzewnego do zapałek, dalej zakładów wyprawy skór metodą fabryczną, fabryk sody, przędzalni lnu, roztrząsa rentowność hut szklannych, zastanawia się nad warunkami powodzenia cukrowarni, podaje niezmiernie interesujący traktat o wartości pokładów glin garncarskich, wykazuje straty, jakie gospodarstwo krajowe ponosi wskutek wywozu olbrzymich ilości gałganów za granicę, które następnie powracają do nas w postaci kosztownych papierów, projektuje zakładanie po folwarkach krochmalarek na miejsce gorzelni, a w ostatnim rozdziale podaje nader cenne uwagi ogólne, na które baczyć należy przy zakładaniu przedsiębiorstw fabrycznych.

Jak powiedzieliśmy, dziełko p. Babla przychodzi bardzo na czasie, gdyż nigdy może tak wiele nie mówiono o potrzebie i sposobach rozwoju przemysłu jak obecnie, a wskutek tego mówienia może nareszcie i robić się coś zacznie. Więc praktyczne wskazówki, z fachową znajomością rzeczy napisane, jakie zawierają listy o przemyśle fabrycznym w Galicyi p. Babla, mogą oddać nader cenne usługi tym wszystkim, którzy zajmują się projektami zakładania fabryk w naszym kraju. A i ci mogą uwagami p. Babla zachęceni być do zakładania fabryk, którzy wprawdzie mają do rozporządzenia wszelkie środki do tego, ale po prostu za leniwi są, ażeby przeprowadzeniem w czyn takiego projektu zająć się chcieli, albo jeżeli nie przez gnuśność umysłową nie imają się interesów fabrycznych, to przez brak zaufania we własne siły, odstraszeni przykładami upadku nieroztropnie prowadzonych fabryk, jakie w naszym kraju tu i owdzie powstawały, nie mają odwagi wziąć się do założenia jakiej fabryki, pomimo że surowiec wyborny posiadają pod ręką.

Arcysłuszną czyni w jednem miejscu uwagę p. Babel w swojem dziełku, że jedną z głównych przyczyn, dlaczego przemysł fabryczny w Galicyi tak powoli rozwija się, jest fakt, iż najczęściej ci, co mają o czem fabryki zakładać, nie rozumieją się na tem, a ci co się na tym interesie znają, nie mają środków potrzebnych do rozporządzenia. Jeżeliby dziełko p. Babla licznych znalazło czytelników, może to przyczyniłoby się choć trochę do zbliżenia tych dwóch kontrastów.

(Omanka, powieść przez Jana Zacharjasiewicza. Warszawa, 1876. Nakładem księgarni Celsa Lewickiego i spółki.)

Co znaczy *Omanka?* masz prawo zapytać, czytelniku. Zaraz ci odpowiem, tylko przedtem musisz wiedzieć co znaczy *Oman.* „Oman — powiada babunia Salusi, którą niebawem poznamy — gra wielką rolę w życiu naszego ludu. Jeżeli wieśniak pole sieje, i idąc z jednego zagonu na drugi, jeden ominie, to taki zagon pusty nazywają *omanem.* Wieśniak powiada wtedy, że zły duch *omanił* go, i jeden zagon z jego pracy wziął dla siebie. Na tym zagonie nie wolno nic już robić, bo wszystko, co na takim omanie rośnie, rośnie dla złego ducha.“

— Więc cóż znaczy *omanka?*

Na takich zagonach w noc księżycową widać czasem pląsające kobiety, zwodnice, od których się niczego dobrego spodziewać nie można. Lud nazywa je *omankami,* a są to zapewne bliskie krewne, jeśli nie rodzone siostry rusałek ukraińskich. Zadanie ich polega na tem, aby znęcać ku sobie wędrowców, prowadzić na zdradzieckie manowce, i jeżeli nie wydrzeć duszę, to przynajmniej życie zwichnąć swym ofiarom.

Poszukajmyż teraz Omanki w powieści p. Zacharjasiewicza.

W małem powiatowem miasteczku mieszka Babunia z Salusią. Babunia była kiedyś bogatą, dziś ma tylko kamienicę i dworek, co zawsze stanowi po-

*

ważną fortunę w miasteczku. Salusia jest powabną dziewczyną, dojrzewającą w cieniu opieki babuninej i liści figowych, pod któremi siaduje przy oknie, patrząc na spokojną ulicę przed domem. Naprzeciw tego okna jest mały domek ślusarza, główny przedmiot obserwacyi Salusi. Szczególnie zajmuje ją pewien chłopak, który co dzień w pewnych oznaczonych godzinach wychodzi z domku i wraca z książkami pod pachą, wieczorem zaś usiadłszy na progu wygrywa na harmonijce rozmaite tęskne melodye.

Lata płyną, chłopiec gdzieś zniknął, Salusia wyrosła na pannę i Babunia zaczyna troszczyć się jej losem. Babunia to rzadka kobieta: szuka dla swojej wnuczki człowieka przedewszystkiem prawego, pracowitego, statecznego; majątek kładzie na dalszym planie. Takiego właśnie męża dla Salusi upatrzyła w aplikancie sądowym Karolu, który kocha Salusię już oddawna, ale ubogi młodzieniec nie śmiał oczu podnieść na pannę „kamieniczną.“ Ale Babunia umie go zachęcić, aby się starał o jej wnuczkę. Jednocześnie ze skromnym, cichym i wcale niebłyszczącym aplikantem sądowym pojawia się w dworku Babuni, jak jaki meteor, świetny, młody i piękny, z artystowską grzywą, wiolonczelista Floryan. Salusia odrazu go poznała — to chłopak od ślusarza, który wygrywał kiedyś tak tęskne melodye na harmonijce. Poznała i namiętnie pokochała, a w skutek dziwnego zbiegu okoliczności, zdawało się jej, że to właśnie jest mąż upatrzony dla niej przez babunię.

Nieporozumienie trwało aż do chwili, w której się Karol oświadczył o rękę Salusi. Salusia naturalnie odmawia i wyznaje Babuni swoją miłość dla Floryana. Babunia zgorszona nie chce słyszeć o artyście, nie dla tego bynajmniej, że to syn ślusarza, ale że umiała się poznać na charakterze Floryana. Co prawda, babunia jest lepiej w tym względzie poinformowaną od czytelnika, który dopiero później zupełną słuszność jej przyznaje.

Co się tyczy Floryana, to ten się także zakochał w pannie; przynajmniej tak mu się zdawało. Przeszkoda stawiana przez babunię, jeszcze bardziej podnieciła tę miłość. Na naradzie miłosnej Floryana z Salusią stanęło, że Floryan ma szukać protekcyi brata babuni, niejakiego pana Szambora, człowieka bardzo bogatego, pół Węgra, a całego dziwaka, wielkiego wreszcie melomana. Szambor znał Floryana za granicą, jako znakomitego artystę, grywał z nim nieraz duety, Floryan liczy na tę znajomość i jedzie do zamku Szambora.

Szambor przyjmuje z początku artystę tak z góry, że kto inny z kopyta zawróciłby od progu; ale Floryan zostaje. Zamek Szambora jest pełen przepychu i tajemnic. Jedno i drugie wywiera magiczny wpływ na wyobraźnię artysty. Szczególnie intryguje go muzyka, którą w nocy, gdy wszystkie światła w zamku pogasną, słychać z dolnych pokojów, przylegających do gabinetu Szambora. Floryan odpowiada na tę muzykę głosem swojej wiolonczeli i chce koniecznie zbadać tajemnicę. Udaje mu się to bardzo prędko i przez odchylone przypadkiem drzwi źwierciadlane gabinetu ujrzał prześliczną kobietę, ukrytą w owych tajemniczych pokojach. Z tego co słyszał od służby, skombinował, że to jest bardzo bogata Węgierka, bliska krewna Szambora, którą stryj Szambor trzyma przy sobie i nie chce wydać za mąż, spodziewając się, że jej majątek, mianowicie zamek nad Dunajem z mostem zwodzonym, na niego przejdzie.

Ten zamek nad Dunajem nie mało się przyczynia do upoetyzowania tajemniczej Węgierki; nie jest to to samo, co kamieniczka w powiatowem mieście. Wkrótce zawiązuje się korespondencya pomiędzy Floryanem a Węgierką i w końcu tajemnicza Elma pisze mu, że za kilka dni uzyska pełnoletność, wyjeżdża do Wiednia i tam gotowa mu oddać rękę.

A cóż będzie z Salusią? Miłość Floryana dla niej rozwiała się jak senne marzenie. Sam Szambor oświadcza mu teraz, że babka niby już nie miała przeciw jego małżeństwu z Salusią, ale Floryan wykręca się gorzej jak student złapany na swawoli. Stanowczo zrzeka się ręki Salusi, myśląc o bliskiej chwili poślubienia pięknej i bogatej nieznajomej, z którą dotychczas nawet dwóch słów nie zamienił, a tylko listownie się porozumiewał.

Nadchodzi ta chwila, Floryan jedzie do Wiednia, udaje się pod wskazanym adresem, wchodzi z bijącem sercem do bogatego apartamentu, widzi Elmę, zbliża się do niej, i — zgadnijcie czytelnicy, jak go Elma wita? Tak jak może przywitać lalka, choćby najkunsztowniej zrobiona.

Elma była lalką prawdziwą, wypchaną, którą dziwak Szambor kazał misternie zrobić dla siebie na podobieństwo młodej i pięknej żony, co go zdradziła i porzuciła.

Na tem koniec powieści i zachodzi teraz pytanie, gdzie jest Omanka? Podług autora jest nią owa lalka kunsztownie zrobiona; przynajmniej tak trzeba wnioskować z kilku słów jego tu i ówdzie rzuconych. My jesteśmy zdania, że autor trafnie dał tytuł swojej powieści: *Omanka*, ale nie trafnie utytułował tą nazwą bezduszną Elmę. Prawdziwą Omanką jest nie lalka, ale wyobraźnia artysty, i tylko przy takim zapatrywaniu się powieść nabiera głębszego znaczenia.

Tak, dla bardzo wielu ludzi, szczególnie dla artystów, wyobraźnia jest prawdziwą Omanką, która prowadzi ich z manowca na manowiec, ciągle coś nowego, coraz to nowe jakieś lalki strojąc w zwodnicze wdzięki. W człowieku, w którym wygóruje wyobraźnia, nie ma miejsca dla głębokich uczuć i trwałych postanowień. Na nieszczęście tem się zwykle odznaczają artyści i to tłumaczy smutne zazwyczaj koleje ich życia.

Głęboki jest, jak widzimy, pomysł powieści p. Zacharjasiewicza, ale wcielenie jego w kształty powieściowe jest pod niektórymi względami dość ułomne. Z podanego streszczenia powieści czytelnik mógł się przekonać, że główną osobą jest tu Floryan, on więc od początku do końca powinien być na pierwszym planie powieści. Babunia, Salusia, Karol i inne osoby, z wyjątkiem może Szambora, drugorzędne już zajmują stanowisko, a tymczasem przez większą połowę powieści więcej mamy do czynienia z Salusią, babunią i jej placuszkami do kawy, niż z samym bohaterem, więcej wiemy o zielonym surducie pana kasyera (przyjaciela Karola), niż o tem, w jaki sposób synek ślusarza został wielkim artystą, niż o wrażeniu jakie wywarł na niego powrót do rodzinnego miasteczka, poznanie Salusi itd. W drugiej połowie powieści zachodzi wprawdzie zmiana na lepsze, Floryan jest ciągle na pierwszym planie, ale i tu za mało jesteśmy wtajemniczeni w walkę, jaka bądź co bądź musiała się w nim odegrać pomiędzy uczuciami dla Salusi a nową pseudo-miłością dla tajemniczej Węgierki.

W rysunku zewnętrznej postaci swoich osób autor nie zawsze także jest szczęśliwym. Nie brak mu kolorów, delikatnych linii i cieni, ale włada często tymi środkami w sposób, który musimy nazwać pretensyonalnym, i który z tego powodu bywa tak niejasnym, że niektórych wyrażeń formalnie zrozumieć nie możemy. Czy nie pretensyonalnym jest naprzykład obraz Salusi, oczekującej pierwszego zjawienia się jej kochanka (str. 50). „Dziwny strumień elektryczny wyprostował, a nawet z wdziękiem w tył przegiął całą jej postawę. Zaokrąglone ramiona ułożyły się z niezrównanym wdziękiem, a pierś falująca zarysowała się w lekkich akwarelowych liniach. Drobna nóżka wychyliła się ciekawie z pod sukni ciemnoorzechowej, a w małej rączce jakby dla podniesienia liliowej białości, znalazła się odłamana gałązka oleandru. Kiedy ta gałązka rozłączyła się z swoim pniem rodzinnym, o tem Salomea wcale nie wiedziała.“ A czy zrozumiałym jest ten ustęp z portretu Floryana: (str. 54) „Pod ładnie wysklepionemi brwiami gorzało oko niespokojne, w którem na przemian wybijał się wyraz jakiejś nieugaszonej tęsknoty wraz z *lekką ironią przetężonego czoła*.“ Autor za wiele chce malować, za mało ufa wyobraźni czytelnika, a tymczasem ta wyobraźnia, niech pozna tylko wewnętrzną istotę jakiej osoby, i to nie tyle z opisu, ile z jej działania, potrafi wybornie z kilku rzuconych sobie rysów wytworzyć jej postać zewnętrzną.

Co się tyczy romansu Floryana z lalką Szambora, to podobniejszy on co prawda do alegoryi, niż do rzeczywistości, nie można jednak zaprzeczyć, że wybornie charakteryzuje siłę złudzeń, do jakich zdolną jest niespokojna i rozbujała wyobraźnia.

Z tego, cośmy powiedzieli o powieści, wynika, że podług nas główna jej zaleta tkwi w pomyśle. Zaleta to nie mała i zaszczytnie wyróżnia Omankę z powodzi utworów powieściowych, pisanych na wiatr, dobrze jeśli ku zabawie, najczęściej ku znudzeniu czytelnika.

J. T.

(*Hrabia Artur, powieść przez EmilaRonieckiego. Lwów, 1877.*)

Dowiadujemy się z tej powieści (str. 112), że jej autor jest zarazem autorem dwóch tragedyi, *Barbary i Abrahama*; dowiadujemy się także przy tej okazyi, że autor nie może przebaczyć swoim krytykom, iż upatrzyli w jego pierwszych utworach jakieś chwalebne tendencye. „Tylko owego odkrycia jakichś chwalebnych tendencyi nie mogę nikomu przebaczyć,“ są własne słowa autora, a my dodamy, że jeśli autor w „Hrabi Arturze“ chciał niejako w odpowiedź swoim krytykom napisać powieść bez wszelkich, czy to chwalebnych, czy niechwalebnych tendencyi, to udało mu się to lepiej może, niżby pragnął. Źle to bardzo, jeżeli w powieści tendencya choćby najlepsza, na każdym kroku wyłazi jak szydło z worka, jeżeli jest gwałtem wśrubowaną do treści, jeżeli autor ani na chwilę nie zapomina o swojej mentorskiej roli, — ale jeszcze gorzej, kiedy powieść jest tak napisaną, że czytelnik nie może zrozumieć, o co autorowi chodziło. Bo przecież, żeby stworzyć powieść, nie dość jest opowiedzieć, źle lub dobrze, szereg jakichś wydarzeń mniej lub więcej ciekawych, potrzeba jeszcze, aby te wydarzenia ściśle się z sobą łączyły i zaokrąglały w całość, która dopiero im właściwe nadaje znaczenie. Po przeczytaniu „Hrabiego Artura“ czytelnik jest jakby po nieprzyjemnej drzemce gorączkowej, w której przewijały się przed nim rozmaite grymaśne sceny i postacie, z chorobliwego usposobienia wyległe. Jest, prawda, w powieści pretensya do trzeźwego poglądu na życie, ale jest to chyba trzeźwość człowieka cierpiącego „Katzenjammer.“

Już w samym tytule jest nieporozumienie. Sądząc z tytułu, możnaby mniemać, że to hrabia Artur jest główną osobą powieści. Tymczasem nie tylko nie jest on główną osobą, ale jest tak wytartym i spłowiałym typem zrujnowanego panka, że nie warto mówić o nim. Właściwym bohaterem jest Emil, przedstawiciel inteligencyi, który zabiera głos nieraz na kilka stronic bez przerwy, i potrafiłby może dłużej mówić, gdyby mu nie przerywano. Byłby to może dość zabawny bohater, gdyby autor nie chciał go brać na seryo i robić z niego dodatniej postaci, jedynej zresztą w całej powieści. Kocha się on idealnie w pewnej bardzo wykształconej pannie Maryi, która z miłości wychodzi za mąż za hr. Artura, i jednocześnie tenże Emil prowadzi miłostki z pokojówkami. Panna Marya, wyszedłszy za mąż, zostaje otrutą przez męża, a umierając, chce koniecznie, aby ją Emil pocałował, co Emil uskutecznia. Hrabia po śmierci żony żeni się ze swoją pokojówką i dostaje obłąkania zmysłów, a Emil.... Emil zapewne żyje, oby tylko nie pisał powieści, przynajmniej podobnych do tej!

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. września.

We czwartek dnia 6 września o godzinie 11ej wobec licznie zgromadzonej publiczności Hr. Włodzimierz Dzieduszycki, prezes wystawy, otworzył wystawę krajową rolniczą i przemysłową. Już od wczesnego rana uwijały się dorożki na wszystkich ulicach prowadzących do placu wystawy. Od godziny 10ej do jedenastej ciągnęły się one jednym sznurem przez ulicę Zieloną wioząc gości na Wystawę. Przy wjeździe w ulicę Wystawy wzniesiono na prędce tryumfalną bramę ubraną w zieleń. Sam zaś gmach wystawy i brama wchodowa przyozdobiona w chorągwie narodowe i zieleń bardzo miłe sprawiały wrażenie. Liczba gości nie da się dokładnie obliczyć. Było około 2 tysięcy. Serdeczna szczeropolska przemowa prezesa sympatycznie przyjętą została (samą przemowę znajdzie czytelnik w czasopiśmie *Wystawa*) a przy słowach „otwieram wystawę“ dały się słyszeć działa i muzyka zagrała coś melancholijnego. Potem powitał gości prezydent miasta Al. Jasiński. Otworzono podwoje i publiczność udała

się oglądać Wystawę. Jeszcze nie wszyscy wystawcy pourządzali się, a już jest widoczne bogactwo przedmiotów, z których naukę i otuchę czerpać będziemy. Śmiało można powiedzieć, że Wystawa przeszła wszelkie oczekiwanie. Nie będziemy się tu wdawali w szczegóły, gdyż czytelnik znajdzie gruntowne ocenienie wszystkiego w czasopiśmie *Wystawa* do którego odsyłamy.

* * *

Czytelnicy Tygodnia będą czytali sprawozdanie z tegorocznej wystawy sztuk pięknych we Lwowie w pismie „Wystawa“, która jest wystawowym dodatkiem do Tygodnia; jednakże i sam Tydzień nie może zrzec się całkowicie na korzyść swej towarzyszki sposobności mówienia o rzeczy tak ciekawej, jak wystawa sztuk pięknych, jak nasze młode malarstwo.

Tegoroczna wystawa nie jest zapewne uboższą od dawniejszych, ale też i nie świetniejszą. W katalogu świecą wprawdzie imiona Matejki i Siemiradzkiego, ale z utworów tego ostatniego znajduje się na wystawie tylko szkic nie wielki, o którym później kilka słów powiemy, a Matejko reprezentowany jest przez kopię swego Stańczyka. Brandt nic nie nadesłał, pana Leopolskiego „Zgon Klonowicza“ i „klucznik Gerwazy“ dawno już nam znane, p. Rodakowski dał tylko „Kaznodzieję.“

Prawdziwą nowalią i prawdziwymi klejnotami tegorocznej wystawy są obrazki rodzajowe Gierymskiego i krajobrazy Brochockiego. Nie będziemy tu roztrząsali pytania, któremu z tych dwóch malarzy należy się pierwszeństwo na tegorocznej naszej wystawie; to tylko pewna, że tak „Austerya rzymska“ i „gra w morę“ Gierymskiego, jak „krajobraz z nad Prosny“ i „Zachód słońca“ Brochockiego, najdłużej przykuwają do siebie wzrok i uwagę. Szkoda tylko, że niezupełnie dobrze są umieszczone; tak n. p. „Zachód słońca“ Brochockiego wisi tak nisko, że formalnie trzeba przysiadać, ażeby mu się przypatrzeć, a że to mały obrazek, więc nawet trudno się go doszukać.

Największym pod względem rozmiarów z tylko co wymienionych obrazów jest „Austerya rzymska“ Gierymskiego, jest on jednak o wiele jeszcze mniejszy od wielkich płócien, których sporo posiadamy w tym roku, choć wielkiej z nich pociechy malarstwo nasze mieć nie będzie. Tak w Austeryi, jak i w drugim obrazie Gierymskiego mamy przed sobą świat włoskiego proletaryatu. Ale jak przedstawiony! jak naturalnie, jak żywo, jak prawdziwie! W Austeryi jest prawie ciemno, jak zwykły w kawiarniach włoskich, kryjących się od słonecznej spieki. Przez drzwi szklanne pada tylko światło od ślepej, szarej ściany sąsiedniego domu, oddzielonego wąziutką uliczką. W drzwiach stoją dwaj uliczni artyści najniższego rzędu; jeden z nich spiewa jakąś piosnkę ze swobodą i spokojem rutynowanego artysty, znać przytem głód i niesłychaną niedołężność w jego twarzy. Drugi z poczuciem podrzędnej swej roli towarzyszy piosnce brząkaniem na gitarze, czy jakimś podobnym instrumencie. Towarzystwo w Austeryi dzieli się na dwie gruppy: po lewej stronie przedstawiciele władzy bezpieczeństwa publicznego zasiadają przy jednym stoliku z jakąś dość podejrzaną figurą, która bynajmniej nie traci wobec nich swobody, a nawet żartobliwego wyrazu twarzy; po prawej stronie grupa składa się z dwóch kobiet, dość przyzwoitej powierzchowności i dwóch mężczyzn.

Widocznie piosnka wędrownego artysty dała powód do jakiejś żartobliwej uwagi, przeciw której starsza kobieta protestuje ruchem ręki i wyrazem twarzy. Zaraz obok tej ożywionej grupy widzimy mężczyznę, który oparty plecami o ścianę, z głową na piersi pochyloną usypia w najlepsze. Rozmowa, piosnki, żarty, brzęk kieliszków, nic dla niego istnieje. Pod drzwiami chłopak usługujący nalewa w kieliszki jakiegoś czystego, ale nie tak zapewne niewinnego jak łza, nektaru: będzie to, jak się zdaje, nagroda dla artystów. I jeszcze nie koniec; z ulicy ktoś przyłożył twarz do szklannej szyby, chcąc dojrzeć znajomego czy znajomej w austeryi, a przez środek tej szarej izdebki kroczy jakaś mała i rozczochrana Włoszka, dziecko austeryi. Kto chce wiedzieć ile wdzięku i naturalności w tej małej postaci, ile prawdy we wszystkich osobach tego arcydzieła rodzajowego, niech sam idzie na wystawę i patrzy.

Drugi obraz Gerymskiego, przedstawia ulubioną grę proletaryatu włoskiego „W morę;“ i tu te same zalety, co w pierwszym obrazie, nie ma tylko takich efektów światła, takiego bogactwa figur, i takiego życia w ich ugrupowaniu, jak w „Austeryi.“

W przyszłym tygodniu pomówimy o Brochockim i niektórych innych obrazach naszej wystawy.

* * *

Sejm nasz zakończył krótki swój żywot. Wszelako jakkolwiek żywot jego był krótki, owoce są jeszcze mniejsze. Cały czas był zajęty pisaniem jakiegoś adresu, o którym jednak ani wzmianki na publicznem posiedzeniu nie zrobiono. Nie należymy do zwolenników wielkiej polityki, przyszłość Polski widzimy w domu, jesteśmy przeciwni szukaniu jej po gabinetach. Praca nad oświatą ludu, praca nad podniesieniem dobrobytu ludu, pozyskania milionów obywateli z klas dziś upośledzonych jest naszą całą wiarą, jest wyczerpującym programem. Ale jest w kraju stronnictwo, które nie wierzy w siły narodowe, które pracę uczciwą nad podniesieniem ludu nazywa demagogią, którego przedstawiciele czepiają się klamek ministeryalnych, którzy liczą, czy przynajmniej udają, że liczą na wypadki zewnętrzne, na pomoc sprzyjających okoliczności i dworów. Otóż to stronnictwo, gdy chwila nadejdzie taka, którą oni przepowiadają, chowa się w myszą dziurę i radeby cały naród za sobą pociągnąć. W czasie pokoju przeszkadza ono organicznej pracy i stawia złudne horoskopy, odrywając ludzi od pracy, w czasie wojny intryguje na wszystkie strony i jedynem jego zajęciem jest przeszkadzanie w jakiejkolwiek pracy i dążnościach narodowych. Ci to Targowiczanie, którzy od stu lat zabijają każdą uczciwą pracę, walczą ze wszystkiem co polskie, co postępowe, co podnosi ducha i pokrzepia siły narodowe, ci sami Targowiczanie i w teraźniejszym sejmie nie dali nic zrobić. Nie zmniejsza to wiary naszej, boć my będąc w większości i mogąc czapkami ich zarzucić, nie umiemy zorganizować się i przeprowadzić ładu w kraju. Najfatalniejszem było w czasie tegorocznej seryi nie przeprowadzenie uchwały o powiększeniu liczby posłów z miast, uchwały, na którą kraj oczekuje od lat wielu. I czyż dziwić się można potem, gdy publiczność wyprowadzona z cierpliwości dopuszcza się takich ekscesów, jakie miały miejsce w czasie odczytu Tarnowskiego.

* * *

Czy zostanie opera, czy odleci jak ptak południowy za nadejściem zimy? Oto pytanie, które bardzo żywo obchodzi tę część ogółu lwowskiego, dla której muzyka stanowi najwyższy rodzaj przyjemności, a do której, piszący te słowa chętnie się zalicza. Oczy wszystkich melomanów zwracają się teraz na Radę miejską, która jakąś subwencyą mogłaby jeszcze zatrzymać nam operę. Nie byłyby to może pieniądze wydane bez wszelkiego materyalszego wynagrodzenia; trzeba pamiętać, że opera jest potężnym magnesem, niejednę rodzinę bogatą, która poszukuje rozrywek, i może najwięcej dla opery przesiaduje w miastach zagranicznych, zdoła ściągnąć do Lwowa na stałe mieszkanie.

W przeszłym tygodniu przedstawiano Straszny dwór z Moniuszki. Partyę Tercuzzi'ego śpiewał p. Borkowski, co nie było szczęśliwą zamianą, tem bardziej, że z tego powodu ktoś znowu musiał zastępować p. Borkowskiego w owem klasycznem „Zażyj tabaki“, która się tak wybornie udaje p. Borkowskiemu. W ubiegły zaś wtorek dawano Lunatyczkę w której po raz pierwszy występowała nowa primadonna włoska Botterelli. Panna B ma głos słaby, ale bardzo przyjemny i wyrobiony, ma także prześliczne zęby, ale to właśnie stanowi jej nieszczęście, gdyż zanadto pamięta o nich, co jej nie pozwala należycie przejmować się rolą, a na twarzy wyciska stereotypowy uśmiech. Tylko w trzecim akcie, w stanie uśpienia, spiewała prześlicznie i zdawała się zapominać o swoich zębach, to też trzeci akt udał się jej znakomicie.

Eskimosi w Grenlandyi.*)

Tales and Traditions of the Eskimo, przez doktora Henryka Rink, dyrektora Greenland Board of Trade, tłumaczone z duńskiego przez autora, z ilustracyami rysowanemi i rytemi przez Eskimosów. Londyn, 1875.

Sketches of life in Greenland drukowane w Geographical Magasine londyńskim 1876.

Eskimosi, którzy dotychczas zaniedbywani byli przez podróżników, i których obyczaje z tego powodu były bardzo mało znane, znaleźli wreszcie swego historyka i malarza. Pewien Duńczyk, doktor Rink, prezydent izby handlowej grenlandzkiej w Kopenhadze, a przedtem gubernator kolonii duńskich w Grenlandyi, napisał o nich niedawno książkę, którą Anglicy w lot na swój język przełożyli. Prawie jednocześnie pewna pani, również należąca do narodu duńskiego, i nie gorzej od doktora Rinka ukwalifikowana do mówienia o Grenlandczykach, rozpoczęła w londyńskim Przeglądzie geograficznym seryę szkiców, w których wyprowadziła przed nasze oczy tę cichą, podbiegunową ludność i odmalowała jej życie codzienne. Urodzona w jednej z faktoryi duńskich na zachodnim brzegu Grenlandyi, ta pani tam wyszła za mąż i tam spędziła znaczną część życia. Co się tyczy doktora Rinka, to on przebywał w Grenlandyi, piastując swój wysoki urząd, przez 16 zim i 22 lata. To też opowia-

*) Léo Quesnel — Revue politique et littéraire 1877. N. 52.

dania tych dwojga autorów bynajmniej nie podobne są do opowiadań kapitanów rybackich statków, którzy w Grenlandczykach widzieli tylko idyotów, żywiących się tłuszczem wielorybim. Dr. Rink i bezimienna dama mówią turańskiem narzeczem Eskimosów, jak swoim własnym językiem, i przy pomocy też tego niezbędnego klucza, którego nikt nie posiadał w takim stopniu, jak oni, przenikli w głąb myśli i uczuć tego tak spotwarzonego podług nich ludu, i poznawszy go, bardzo go pokochali.

Otóż, ponieważ zwykle pięknie się mówi o tem, co się kocha, więc też i nasi autorowie odmalowali życie moralne i materyalne Grenlandczyków nie tylko zajmująco, ale i z wdziękiem. Posłuchajmy naprzód doktora Rinka, którego dzieło, o wiele poważniejsze od drugiego, jedynie dostarczyć może pewnych danych nauce.

I.

Eskimosi, jak wiadomo, są szczątkami przedhistorycznej rasy myśliwców i rybaków, która zaludniała całe wybrzeże Europy, od Norwegii do Hiszpanii, a którą kolejne napływy Aryjczyków wyparły aż do niegościnnych granic mieszkalnej ziemi. Język ich świadczy o ich przynależności do rodziny turańskiej; czoła ich niskie, włosy czarne i gładkie, budowa krępa, wszystko to nie przeczy temu pochodzeniu. Podobnie, jak Lapończycy, ich sąsiedzi, są oni Mongołami północy, i równie jak tamci nieprzystępni dla wyższej kultury. To nam tłumaczy, dla czego zwycięzka rasa aryjska wyparła ich z zajmowanych przez się krajów, i dla czego w mitologiach północy duchy dobroczynne, bogowie, występują w postaciach ludzi jasnowłosych, olbrzymiej postawy.

Właściwe znaczenie nazwiska *Eskimo* znane było jeszcze przed doktorem Rinkiem. Nie jest to właściwa nazwa mieszkańców Labradoru i Grenlandyi, ale tylko przezwisko, dane im przez ich sąsiadów z południa, Abenaków. W języku tych ostatnich *Eskimo*, jak się zdaje, oznacza *zjadaczy surowej ryby*. Bo chociaż Abenakowie byli dzikimi Czerwonoskórymi, którzy popełniali największe okrucieństwa i nieprzyjaciołom swoim zdejmowali czaszki z głowy (skalpowali), to przecież karmić się surową rybą poczytywali za obyczaj barbarzyński, i dla tego niewinnych Labradorczyków północnych nazywali pogardliwie Eskimosami. Ci ostatni nazywają siebie *Innuit*, co w ich narzeczu znaczy *lud*. Poznano w pobliżu północnego bieguna pokolenia liczące zaledwie po sto ludzi, które się uważały za lud wyłączny, za jedyny lud na świecie i nie wiedziały wcale o istnieniu sąsiednich pokoleń. Pomiędzy naiwnością Eskimosów, a pychą ich krewnych, Chińczyków, odległość, jak widzimy, nie tak wielka: i jedni i drudzy uważają siebie za środek świata, z tą różnicą, że pierwsi rzeczywiście nie wiedzą o istnieniu drugich narodów, a drudzy udają tylko tę niewiadomość.

Mówimy: nie wielką, ponieważ bierzemy Eskimosów tak, jak to czyni doktór Rink, to jest w stanie społecznym, w jakim znaleźli ich Duńczycy na początku 18 wieku, i w jakim dotychczas jeszcze znajdują niektóre plemiona, które nie stykały się z Europejczykami. Każdego roku wyprawy podbiegunowe odkrywają na krańcach lodowatego morza odosobnione rodziny Eskimosów. Rodziny te są osiadłe oddawna, lub co najwięcej krótką jakąś wędrówkę odbyły, i nie znają bynajmniej rodzin sąsiednich, oddzielonych niezmierzonemi, śnieżnemi i lodowemi równinami, które nie zdolne są przynęcić ku sobie żadnym rodzajem produktów. Prowadzą tam życie komunistyczne, bardzo zadowoleni ze swego losu; każda rodzina uważa się za jedyną rodzinę ludzką na świecie i karmi się przesądnemi wierzeniami, czerpanemi z pierwszych źródeł panteizmu. Jak daleko sięgały wyprawy europejskie, wszędzie znajdywano Eskimosów. Żeglarze Hall i Kane zauważyli, że ptaki i cielęta morskie znajdują się w większej obfitości w punktach zbliżonych do bieguna, jak w okolicach koła biegunowego, gdzie jest większa obfitość pożywienia. Atoli wyprawa podbiegunowa kapitana Naresa, nic nas w tym względzie nie pouczyła. To tylko jest faktem znaczącym, że wszystkie pokolenia w chwili ich odkrycia mają jednakowe obyczaje i instytucye, co wskazuje na wspólność ich pochodzenia i historyi. Nie można wątpić, że lud grenlandzki i labradorski był dawniej liczniejszym i ściślej wewnątrz spojonym, jak dzisiaj; ta bowiem wspólność obyczajów nie mogła powstać odrębnie chociażby pod wpływem jednakowych przyczyn. Tradycya utrzymuje, że klimat podbiegunowy był dawniej o wiele przyjaźniejszym jak dzisiaj, i że ludność zmniejszała się w miarę tego jak środki pożywienia na brzegach znikały pod coraz grubszą pokrywą lodu. Mniemanie to zgadza się z uwagą Tyndalla o tajeniu lodników. W Islandyi, w Norwegii i w okolicach, które nas obecnie zajmują, dostarczono mnóstwo dowodów na to, że jeśli w krajach podbiegunowych lata stały się mniej gorącemi, a zimy mniej chłodnemi, to zato te ostatnie trwają daleko dłużej i przez to samo są bardziej niszczące dziś, jak dawniej.

Eskimosi rozrzuceni są na ogromnej przestrzeni od cieśniny Berynga do Grenlandyi. Doktor Rink dzieli ich na następujące grupy:

1. Grenlandczycy, tworzący trzy działy: Grenlanczyków zachodnich, wśród których znajdują się kolonie duńskie poczynające się u przylądka Farewell na południu a dochodzące do 74° szerokości półn.; Grenlandczyków wschodnich, którzy zamieszkują brzeg zwrócony ku Norwegii, począwszy od przylądka Farewell; Grenlandczyków północnych, prawdziwych hyperborejczyków, których sir John Ross nazwał *góralami arktycznymi*, a którzy od niepamiętnych czasów zdają się być oddzieleni od reszty świata nieprzebytemi lodowcami.

2. Eskimosi Labradoru, którzy sąsiadują i stykają się z Amerykanami.

3. Eskimosi krain pośrednich, zajmujący wszystkie wybrzeża i wyspy od zatoki Baffińskiej i Hudson aż do wyspy Barter niedaleko rzeki Mackenzie. Lodowe pustynie, ciągnące się temi wybrzeżami, mają na 700 mil długości a 300 mil szerokości. O tutejszych to krajowcach opowiadają nam podróżnicy i kapitanowie statków rybackich, że kładą się na grzbiecie i każą żonom swoim, aby im lały w gardło tłuszcz surowej ryby; to są właśnie owi dzicy, których Richardson opisał, którzy patrzali na konanie Franklina i jego towarzyszy, a może nawet winni byli ich śmierci.

4. Eskimosi południowi, którzy od niepamiętnych czasów wiedli wojny ze swymi sąsiadami Czerwonoskórymi. Małżeństwa z jeńcami, a w szczególności z brankami wojennemi, zmięszały ich krew z nieprzyjacielską. Bardziej to miało miejsce u Indyan, których zwyczajem zadawać jeńcom śmierć w mękach, a potem ich zjadać. Zdaje się, że w ogóle wszystkie plemiona Eskimosów wstrzymywały się od praktyk kannibalskich; przynajmniej doktor Rink przytacza kilka legend, które wskazują, że już oddawna praktyki te były u nich w obrzydzeniu.

5. Pozostają nareszcie Eskimosi azyatyccy, których krew jest czystsza jak w ogóle Eskimosów amerykańskich, nie tak jednak wolna od przymieszki jak krew Eskimosów z nad zatoki Baffińskiej i Hudsońskiej i jak krew prawdziwych hyperborejczyków, którzy zamieszkują podbiegunowe góry i nie stykali się z żadnym obcym ludem.

Rozumie się, że ani doktor Rink, ani bezimienna autorka, nie mieli zamiaru dać nam poznać tej rasy, tak szeroko rozpostartej, we wszystkich jej gałęziach. Znają oni dobrze tylko te rodziny Eskimosów, które Duńczycy nawrócili na chrześcijaństwo i w pewnej mierze przyprowadzili do progu cywilizacyi. Ale właśnie w tym to stanie pośrednim pomiędzy prawdziwą cywilizacyą a dzikością mogą być najłatwiej odcyfrowane idee tego ludu. Jestto pora, w której nie zapomniał on jeszcze swoich legend i tradycyi narodowych, a stracił nieufność, która mu przedtem nakazywała je taić przed obcym. Umiał z tego skorzystać doktór Rink: zgłębił on tradycye i myśli swoich naiwnych podwładnych i zgromadził przeszło 500 powiastek, które świadczą o wysokim stopniu wyobraźni u tego ludu, niesłusznie o idyotyzm posądzanego.

Po przeczytaniu książki doktora Rinka przychodzi na myśl uwaga, że wszystko cokolwiek dotąd pisano o obyczajach i pojęciach Eskimosów, może śmiało być użyte za materyał do podpalenia w piecu. Jego praca poważna, gruntowna, nacechowana życzliwością i bezstronnością stanowi rażącą sprzeczność z powierzchownymi i grubymi szkicami przelotnych podróżników. Słusznie też *Quarterly Rewiew*, używając reminiscencyi klasycznej, porównała autora do człowieka trzeźwego pośród ludzi pijanych. Uwagi jego, jakkolwiek czynione tylko nad Grenlandczykami zachodniego pobrzeża, mogą być zastosowane do wszystkich, gdyż wszyscy Eskimosi tworzą rasę zupełnie identyczną, a gałęzie tej rasy różnią się tylko odcieniami kultury, która jest zanadto świeżą, aby mogła była stanowczy wpływ wywrzeć.

Nietylko ich charakter, ale nawet i obyczaje nie doznały gruntownej przemiany. Duńczycy ani mogli robić z nich Europejczyków, ani chcieli. Grunt i klimat stawiałyby temu zadaniu nieprzezwyciężone przeszkody: Eskimosi pozostali tem, czemi ich klimat i ziemia zrobiła. I dzisiaj, jak w roku 1730, karmią się wyłącznie surową rybą w szczególności tłuszczem rybim i ten pokarm jedynie posilnym i zdrowym jest dla nich. W tym względzie *Quarterly Rewiew* przypomina historyę o zacnym Eskimosie, podaną w sprawozdaniu z wyprawy kapitana Hall. Po śmierci Halla, Europejczyków pozbawionych żywności karmił tem, co zdołał upolować młody i dzielny Eskimos, Joe, i uratował ich od śmierci głodowej. W nagrodę Europejczycy zawieźli go naprzód do Ameryki, a potem do Anglii. Ale jak tylko zaczęto go karmić kotletami, Joemu zaczęło być nie dobrze i policzki jego w zastraszający sposób zaczęły zapadać. Nowa wyprawa miała go odwieść na brzegi Grenlandyi. „Niech tylko zjem cielęcia morskiego, mówił, a będę ocalony“. Mięso z pierwszego cielęcia morskiego, tłuszcz z pierwszego wieloryba dano zaraz biednemu chłopcu; przepo-

wiednia jego sprawdziła się: odzyskał natychmiast siły, wesołość i zdrowie.

Ten pokarm mocno jodowy, niezbędny dla Eskimosów, jest też jedynym, jakiego sobie mogą dostarczyć. Z wyjątkiem ptactwa i niedźwiedzi, nic oni nie mają do jedzenia, prócz fok i wielorybów. To też ich obyczaje zastosowane są do niezbędnych warunków ich istnienia: pierwszym obowiązkiem ojca jest zaprowadzić dzieci, jak tylko nauczą się chodzić, na brzeg i wsadzić do łodzi rybackiej, zwanej *kajakiem*. Tam uczą się wiosłować i polować na foki, którym dorównywają w sztuce pływania. Polowanie i rybołostwo nie jest tu zabawką tylko, ale dziełem patryotycznem par excellence, i stanowi podwalinę społeczną. Jest to też jedyne zajęcie, któremu się oddają mężczyźni. Do kobiet należą wszelkie inne rodzaje pracy. One płatają cielęta morskie, obdzierają z nich skórę i zastosowują ją do rozmaitych użytków: robią z niej namioty, trzewiki, odzież, nakrycie głowy dla mężów, pokrowce na lekkie łódki, które posłużą do nowych zdobyczy. One rozdzielają mięso pomiędzy dzieci i ojców, którzy sami stają się dziećmi wobec swoich żon wewnątrz domowej zagrody. One solą i suszą rybę na czasy przednowku i przechowują jaja edredonów i innych ptaków wodnych. U Eskimosów bardziej niż gdzieindziej kobieta jest duszą domowego ogniska: mężczyźni mają tylko obowiązek dostarczenia społeczności potrzebnych zapasów.

Ten obowiązek poczytuje się nietylko za obowiązek domowy, ale za obowiązek publiczny, obywatelski. Oto jak podług doktora Rinka ukonstytuowaną jest gmina grenlandzka. Weźmy ją pod uwagę *ab ovo*, to jest od rodziny.

II.

Jest kilka rodzajów mieszkań u Eskimosów, Podczas lata wszyscy mieszkają w namiotach zrobionych ze skóry cieląt morskich; ale w zimie Eskimosi ze strefy środkowej (3cia grupa) budują sobie domy z brył lodu, podczas gdy zachodni Grenlandczycy, którzy nas w szczególności obchodzą, robią je z desek, inni zaś z kamieni i darniny. Przed wejściem jest długi korytarz, wyryty z ziemi i to w taki sposób, że wchodzący, chcąc dostać się do ich mieszkania, musi naprzód iść w dół, a potem pod górę. Jest to pomysł strategiczny, gdyż napadający na takie mieszkanie znajduje się w niekorzystnem położeniu względem napadniętego. Mieszkanie składa się z jednej izby, zwyczajnie wielkiej, której część przeciwległa wejściu, zajęta jest pokładem z desek, wzniesionym nad ziemią i przypartym do ściany. Ten pokład, podzielony przegródkami na części i zasłany skórami fok i niedźwiedzi, przedstawia apartamenta prywatne. Każdy dział jest sypialnią, a w każdej sypialni mieści się rodzina, to jest para małżeńska ze swemi dziećmi, całkowitą bowiem rodzinę składają te wszystkie pary małżeńskie razem mieszkające. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFIA

polska.

— *Goszczyński Seweryn*, Anna z Nabrzeża. Powieść. 16 str. 115 tomik 50 Biblioteki Mrówki. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1878. 35 ct.

— *Kalendarz polski* (powieściowy) na rok 1878 8ka Lwów. Nakład F. H. R. 1877. 40 ct.

— *Rölitz K. H. L.* Historya Austryi z najnowszego wydania 1877. Spolszczył z zastosowaniem do użytku szkolnego w Galicyi Józef Tretiak 8ka str. 232 i Tablice genealogiczne. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1878. l. 25 ct.

— *Słowo na dzisiejszą chwilę* 8ka str. 30. Lwów 1877 10 ct.

— *Utwory dramatyczne* dla młodzieży. Serya I. wydał ks. Józef Wikt. Hołubowicz T. J. 8ka str. 450. Tarnopol 1877. l. 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Zbliża się pięćdziesięcioletni jubileusz niezmordowanej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego, który — spodziewać się należy — naród uczci stosownie do zasług czcigodnego jubilata. Właśnie dowiadujemy się, iż p. Unger, drukarz i wydawca w Warszawie, ze swej strony ma zamiar wydać 15 tomów wyborowych dzieł J. I. Kraszewskiego na cześć i korzyść autora. Wybór dokonanym zostanie przez samego autora i komitet wydawniczy. W skład tych 15 tomów wejdą dzieła z różnych działów literatury, stosownie do tego, jak autor w różnych działach rozwijał swoją znakomitą działalność. To od p. Ungra. Spodziewamy się, że Warszawa nie ograniczy się na tem. Jednakże zważając na trudności, jakie towarzyszą wszelkiemu objawowi uczuć narodowych pod zaborem moskiewskim, oczekiwać należy, że Lwów, Kraków i Poznań, a przedewszystkiem Lwów, który przoduje we wszystkich patryotycznych pracach, wystąpi z doniosłą manifestacyą na cześć tyle zasłużonego w społeczeństwie polskiem męża. Kraj cały — wszyscy, którzy tyle chwil w życiu przyjemnych zawdzięczają autorowi około tysiąca powieści, pospieszą z oddaniem mu czci należnej.

Nie podajemy żadnego projektu godnego uczczenia Jubilata, sądząc, że sam projekt powinien wyjść z poważnego grona mężów, którzy się w tym celu zgromadzą.

— Obecna wojna dostarcza obfitego materyału naszym pismom humorystycznym, które prawdziwie umiejętnie z niego korzystają. Mamy przed sobą ostatnie numera *Szczutka, Diabła i Harapa. Szczutek* jest u nas powszechnie znany i śmiało można powiedzieć, że mało jest takich ludzi we Lwowie, którzy wiedząc o jego egzystencyi nie starają się go w niedzielę odczytać. W ostatnim numerze główna rycina przedstawia posła Grocholskiego, który chce wnieść adres, ale mu namiestnik usta ręką zamyka. *Diabeł*, który w ostatnich czasach wyrobił się na znakomite pismo humorystyczne i który czerpie bogaty materyał w walce z koteryą Stańczyków, w ostatnim numerze podaje dwie duże ryciny. Jedna z nich przedstawia p. Tarnowskiego odczyt, miany we Lwowie. Prelegent schował się za harmatę, której strzegą żołnierze, czyta dla publiczności otoczonej wojskiem i policyą. Druga rycina przedstawia cara z flaszą w jednej dłoni, z kielichem w drugiej, z nożem na piersiach, pijącego zdrowie najlepszego przyjaciela. Po lewej stronie szubienica i ofiary carskie, z drugiej koń jego włazi już do Wieliczki. Czech zaś przygrywa mu dla rozweselenia humoru. Treść humorystyczno-satyryczna chłoszcze potężnie zdrożności kliki *Czasu*, która jak wiadomo z carem obecnie trzyma. *Harap* przedstawia niedźwiedzia moskiewskiego, który wsunął łapę w szczelinę drzewa (Szypka), i nie może wyciągnąć, a tymczasem Turek tnie go siekierą po łbie. Druga rycina przedstawia cara śpiącego, flasza na stole, kielich wywrócony. Carowi się śni Polska w łańcuchach, ale z chorągwią, na której napis: „Za naszą i waszą wolność.“ Treść mniej obfita, ale również urozmaicona i dowcipna.

— W tych dniach opuści prasę ks. Piotra Skargi *Wzywanie do pokuty* jako 51 tomik Biblioteki Mrówki.

— Wielu mamy obecnie gości we Lwowie. Między innymi przybyli pp. Kazimierz Zaleski, Józef Bliziński, Wilczyński (autor kłopotów Starego komendanta) i wielu innych.

— Benedykt Dybowski, znakomity naturalista, zesłany w r. 1863 na Syberyę, wrócił obecnie do Warszawy.

— Śpiewak „Kirgiza“, Gustaw Zieliński, pracuje podobno nad monografią historyczną większych rozmiarów.

— *Gazeta Kielecka* rozpoczyna druk humoreski Michała Bałuckiego, p. t. „Rywale“.

— W Królestwie polskiem wychodzą i to w dość poważnej ilości książki w języku hebrajskim. W ciągu czerwca wyszło ich np. cztery w 16500 egzemplarzach. Księgi takie drukują, oprócz niektórych drukarń warszawskich, po większej części drukarnie w miastach i miasteczkach prowincyonalnych, jako to: w Lublinie, Józefowie Ordynackim i t. d.

— Wkrótce nakładem jednego z warszawskich księgarzy ma wyjść z druku „Słownik geograficzny“.

— Pan Władysław Gosiewski, znany nasz matematyk, ukończył w tych dniach rozprawę, sięgającą sfer najwyższej matematyki, a mającą za przedmiot: „Zasady teoryi bezwzględnej zjawisk materyalnych.“ Rozprawa ta jednocześnie wydaną zostanie w niemieckim przekładzie.

— Gazety moskiewskie są bardzo drogie: kilkanaście rubli rocznie — to zwykła cena prenumeracyjna. Tanich gazet codziennych, kosztujących kilka rubli rocznie — jest w cesarstwie nader nie wiele. Do rzędu tych ostatnich przybędzie od 1-go października rb. (starego stylu) nowa gazeta codzienna mająca wychodzić w Odessie pt. „Prawda“. Gazeta obejmuje dział polityczny, literacki, handlowy i informacyjny. Redaktorem jej i wydawcą będzie p. Józef Doliwo Dobrowolski.

— Budowa nowego teatru w Łodzi zbliża się ku końcowi. Budynek ma być wykończony tak zewnątrz jak i wewnątrz około 20 bm., w którym to czasie zjeżdża z Warszawy ze swoją orkiestrą p. Flige i dawać tam będzie koncerty — z dniem zaś 1 października salę teatralną obejmie w posiadanie jedno z towarzystw dramatycznych.

— Z listu prywatnego: „Henryk Wieniawski, który po Vieuxtemps'ie lat wiele był profesorem klasy skrzypcowej w konserwatoryum brukselskiem, zażądał uwolnienia od tego obowiązku. Zastąpić go ma podobno Wilhelmi. Pisma zagraniczne, donosząc o tem ubolewają nad stratą, jaką wskutek ustąpienia Wieniawskiego ponosi szkoła francusko-belgijska.“

— Kosztem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych odbywa się restauracya „Barbary“ Simmlera, na której ostatniemi czasy zauważać było można ślady czasu. Restauracyi tej dopełnia p. Kozakiewicz.

— „Pochodnie Nerona“ Henryka Siemiradzkiego przybędą do Warszawy w przyszłym tygodniu.

— P. Karol Miller, artysta-malarz stanął, z wycieczki po kraju odbytej, w murach Warszawy.

— Ostatni numer *Tygodnika illustrowanego* z powodu stuletniej rocznicy urodzin Orłowskiego, rysownika, zamieścił niektóre kopie jego kartonów i bardzo gustownie wykonany portret ze stosownemi emblematami, układu i rysunku Tegazza.

Ciekawa osobistość Orłowskiego, skoczka i artysty zarazem — należy do rzędu tych wielce oryginalnych postaci, jakie nam wiek XVIII w spuściźnie przekazał.

Szkoły.

— We Lwowie wskutek uchwały rady miejskiej czteroklasowa szkoła żeńska św. Elżbiety zamienioną zostanie w szkołę ośmioklasową. W r. b przybywa klasa piąta, w następnym szósta i t. d.

— Do pierwszej klasy jedynego gimnazyum polskiego we Lwowie zapisało się w br. 400 uczni! Czyż fakt ten nie wskazuje dostatecznie, że nie założenie drugiego, ale założenie trzeciego i czwartego gimnazjum we Lwowie jest naglącą koniecznością. Kraj ogląda się na Wiedeń, Wiedeń na kraj, a sprawa tak nagląca pozostaje w zawieszeniu z wielką krzywdą społeczeństwa. Tymczasem delegacya nasza myśli tylko o propinacyi, sejm i rada miasta Lwowa o nakładaniu na psy kagańców i podatku, a Rada państwa zajmuje się sprawami, które ją bliżej obchodzą.

— Bardzo zadowalniające rezultaty okazane przez uczni szkoły muzycznej w Stanisławowie założonej przed dwoma laty prywatnemi usiłowaniami pobudziły mieszkańców Stanisławowa do zawiązania towarzystwa „Harmonii“ w celu przyjęcia z pomocą tej szkole. Towarzystwo chce ułożyć się z założycielami i objąć zupełny zarząd szkoły, a liczy na poparcie publiczności.

Stowarzyszenia.

Sprawozdanie towarzystwa pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego z czwartego roku jego działania (1875/76)

Liczba członków z końcem roku poprzedniego wynosiła 488. W roku zeszłym przybyło 62. Natomiast umarło 6, wystąpiło także 6, a wykreślono 44; ubyło razem 63. Pozostaje więc 487 członków, o jednego mniej niż w roku poprzednim. Księstwo Cieszyńskie dostarczyło 327 członków, Galicya 122, Poznańskie, jednego. Z księstwa Cieszyńskiego najliczniej reprezentowane było: starostwo cieszyńskie (140 członków), następnie frysztackie (107 czł.), niemniej bielskie (80 czl.) Z miasta Cieszyna było członków 47, z Bielska i Suchej górnej po 21. Najwięcej członków pochodzi ze stanu rolniczego (posiadacze gruntu, zagrodnicy, chałupnicy itd.) 102, następnie ze stanu duchownego 72, rzemieślników i przemysłowców około 60, nauczycieli ludowych i profesorów gimnazyalnych 37, urzędników 17 itd. W Galicyi największy wziął udział Lwów (73), następnie Stanisławów (16), Kraków (11), Kołomyja i Biała (po 2 członków) itd. Wieczystych członków liczba w czwartym roku pomnożyła się o 9, tak, że obecnie jest wszystkich 22. W ubiegłym roku przybyli jako wieczyści członkowie: p. Ludwik Rużycki aptekarz w Strumieniu. ks. Józef Ferfecki wikary w Jabłonkowie, p. Ignacy Żółtowski obywatel w Krakowie, dr. Józef Skałkowski adwokat we Lwowie, ks. Józef Pruzerowski proboszcz w Wielkich Kończycach, p. Adolf Stiasny nauczyciel w Stanisłowicach, Filia Towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie, p. Adam Kopiński obywatel w Skale w Galicyi z kwotą 30 złr. i dr. Aleksander Sękowski obywatel w Krakowie, który oprócz wkładki 20 złr. w gotówce ofiarował jeszcze swój udział w Bazarze Cieszyńskim 100 złr. wynoszący. Należy się spodziewać, że za przykładem filii stanisławowskiej pójdą i inne filie Towarzystwa pedagogicznego.

Ogólny dochód towarzystwa w roku ubiegłym wynosi 1.064 złr. 46 cent. Powstał on 1) z wkładek wieczystych członków 290 złr., 2) z wkładek zwyczajnych członków 578 złr. 30 cent., 3) z darów dobrowolnych 55 złr. 10 cent., 4) procentów od fundacyj wieczystych 39 złr. 30 cent. i 5) z procentów od ogólnego kapitału 101 złr. 76 cent. Potrąciwszy z zeszłorocznego dochodu kwotę 405 złr., wydaną na zapomogi dla uczącej się młodzieży, i kwotę 83 złr. na koszta administracyjne, dołączono zaoszczędzoną sumę 576 złr. 85 cent. do nienaruszalnego majątku towarzystwa, który obecnie wynosi 2.947 złr. 85 cent.

Zapomogę wydano 15 uczniom, a mianowicie: 2 słuchaczom lekarskich nauk (jednemu w Krakowie, drugiemu w Wiedniu), 1 słuchaczowi filozofii, 2 słuchaczom szkół rolniczych, 2 teologom, 4 gimnazyalistom, 1 uczniowi szkoły realnej i 3 uczniom w zakładach nauczycielskich. Jedna tylko zapomoga wynosiła 80 złr., 3 po 50, 1 — 35, 1 — 25, 5 po 15, 4 po 10 złr. Zapomogi te, jakkolwiek bardzo małe, dały wszakże niejednemu możność dalszego wytrwania w swych studyach. Spodziewamy się, że rodacy liczniejszem zapisywaniem się na członków powiększą dochód Towarzystwa i ułatwią mu udzielanie skuteczniejszej pomocy.

Skład dyrekcyi jest następujący: dr. Józef Fischer prezes; ks. Ignacy Świeży zastępca prezesa, Paweł Stalmach sekretarz, Andrzej Kotula kasyer, Jan Glajcar z Sibicy, Józef Klebinder z Cieszyna, Hilary Filasiewicz z Cieszyna, dr. Juliusz Sokal z Cieszyna, ks. Ignacy Genserek z Cieszyna, Adam Sikora z Cieszyna, Andrzej Bardoń z Błogocic, ks. Piotr Moroń z Cieszyna.

Członkowie lwowscy Towarzystwa naukowej pomocy dla księstwa Cieszyńskiego mogą otrzymać szczegółowe zeszłoroczne sprawozdanie tego towarzystwa w Księgarni Polskiej (Ulica Kopernika, N. 12) przyczem raczą także złożyć i wkładkę, należną towarzystwu za rok bieżący. (Wkładka roczna wynosi 1 złr.)

ROZMAITOŚCI.

AMERYKAŃSKIE ZWYCZAJE.
(Z listu Juliana Horaina do G. P.)

═ Wiadomo, że w Ameryce egzystuje kara śmierci przez powieszenie; a pomimo łagodności sądów przysięgłych, dość często musi być zastosowaną. Otóż, zbrodniarz stojący już pod szubienicą, ma nietylko prawo przemawiania do ludu, ale bywa nawet o to proszony i zachęcany. Cóż powiecie? — rzadki wypadek, aby tej swobody mówienia nadużył. Zwykle, przekonawszy się, że już żadnego nie ma dlań ratunku, przyznaje się do zbrodni, choćby wprzód przed sądem się zapierał i daje moralne nauki.

— Oto widzicie — powiadają zwykle — szanowni słuchacze, którzyście się tu zgromadzili dla oddania mi ostatniej posługi, do czego doprowadza próżnowanie, chęć łatwego zarobku, wyuzdane namiętności, karciarstwo, nierząd, pijaństwo. Nie miałbym zaszczytu oglądać was w tej chwili tu zgromadzonych, gdybym unikał wszystkich zdrożności, które mię doprowadziły do zbrodni, a zbrodnia pod szubienice. Zatem nie naśladujcie mnie w tych innych względach, o! mili bracia przyjaciele. znajomi i nieznajomi. Żyjcie porządnie, nie uczęszczajcie do szulerni, salonów (szynki amerykańskie nazywają się salonami) i miejsc tym podobnych.

Bywają czasami mowy tak czułe, że wszyscy słuchacze, kat i oprawcy płaczą; bywają niekiedy tak pocieszne, że wszyscy, a nawet delikwent kładą się od śmiechu.

Ale że niedawno w Newada, po obywatelu zbrodniarzu, przemówił do publiczności obywatel kat, to nawet w Ameryce wydało się oryginalnem.

Oto jest mowa kata, podana przez gazety w całej rozciągłości, a przezemnie w wolnym przekładzie.

Scenarium przedstawia się w ten sposób. Na dziedzińcu więziennem w pośrodku wznosi się szubienica z przynależytościami: pod nią, na rusztowaniu stoi pacyent ze stryczkiem na szyi, kat i jego pomocnik. U dołu szeryf z pastorem. Reszta placu zajęta przez nieliczną publiczność za biletami, reprezentantów prasy i sądownictwa oraz dwóch stenografów. Z okien zakratowanych wyglądają więźniowie. Żandarmów, policyi ani śladu.

Kat. Potwierdzam w zupełności, co szanowny poprzedni mówca (delikwent) powiedział: Pijatyka, karty, próżniactwo, doprowadzają porządnych ludzi do zbrodni, a zbrodnia pod szubienicę..

Głos z okna. A kiedy nie ma roboty?

Kat. Fałsz, bajka, dla pracowitego człowieka robota zawsze i wszędzie w Ameryce się znajdzie. Ot, i ja sam od kilku miesięcy potrzebuję drugiego pomocnika, i znaleźć go nie mogę. A urząd jest dobry i korzystny. Zajęcie, jak obecnie, zaledwo raz lub dwa razy w rok się przytrafia. Są i dochody, o których zamilczę, aby nie obudzić zazdrości; ale są niektóre inne, prawem przepisane i dozwolone: Wszystko co się znajdzie przy wisielcu, do nas należy. Wszakże muszę wyznać ze smutkiem — zwykle nam się trafia hołota, nie mająca grosza przy duszy; ale czasami trafiają się i grube ryby (oklaski), porządni i pieniężni zbrodniarze (śmiechy i potakiwania). Ot, na co tu daleko szukać: tam na dole widzę przed i za sobą kilku wysokich urzędników, bogatych przemysłowców, sumiennych redaktorów, wymownych adwokatów, sprawiedliwych sędziów... a jednak poskrobawszy ich szczerze, możeby przyszło nie jednego postawić tu przy mnie na podwyższeniu, a potem pociągnąć jeszcze wyżej. (Pacyent nie mogąc klaskać bo ma ręce związane, potakuje głową; połowa publiczności śmieje się i daje oklaski; niektórzy się krzywią). U takich ptaszków bywają kieszenie pełne! Sam wiem o jednym szczęśliwym moim koledze. który znalazł przy wisielcu z górą 100.000 dolarów weksli na okaziciela. Spieniężył takowe, podzielił się sumiennie z pomocnikami, kupili dobra i żyją razem spokojnie; są wybierani na zaszczytne urzędy stanowe, a z czasem może z nich który dojdzie do najwyższej godności w Rzeczypospolitej. (Brawo! ogólne oklaski).

Teraz zwracam się do ciebie, szanowny zbrodniarzu: znam cię oddawna; byłeś dla mnie zawsze grzeczny i uprzejmy, ilekroć spotykaliśmy się w salonach, traktowałeś mnie zawsze cygarami, piwem, whiskey i t. d. — Raz nawet, w dzień moich urodzin, przysłałeś mi bukiet kwiatów i kosztowny podarek..

Pacyent. — Tak, tak...

Publiczność. — Słuchajcie, słuchajcie!

Kat. Zapisałem to w mojem sercu. Więc choć teraz nikt się za tobą nie wstawiał (pokazuje giestem liczenie pieniędzy), ani prosił, śmierć twoją uczynię lekką, a nawet przyjemną.

Pacyent. Dziękuję, Bóg ci to wynagrodzi.

Kat. Bo słuchajcie i zważajcie u siebie, że to odemnie zależy uczynić konanie pacyenta krótkiem i przyjemnem, lub długiem i bolesnem. Zatem wy wszyscy, mili słuchacze, ktorzy naśladujecie tego oto obywatela (klapnął po ramieniu szubienicznika), w próżniactwie, pijaństwie i wszelkiej innej rozpuście, naśladujcie go i w tak rozsądnem przewidywaniu przyszłości. Muszę nawiasem dodać, że 15 lipca przypada rocznica moich urodzin. Teraz, miły obywatelu, zwracam się po raz ostatni do ciebie, podaj mi rękę... ach, już ją ci przywiązano! Zatem na twojem czole składam pożegnalny pocałunek. Obyśmy jak najpóźniej spotkali się na tamtym świecie. Dixi! „Dalej w drogę“...

I znak dany przez szeryfa, odbyła się ostatnia scena egzekucyi. Publiczność rozeszła się wzruszona.

Wymowny kat otrzymał w rocznicę swoich urodzin mnóstwo bukietów; do niektórych były dołączone mniej więcej kosztowne podarki; a przy każdym znajdował się bilet wizytowy przesyłającego.

Julian Horain.

═ Rada miasta Manchester zadecydowała kupić jezioro Tilmer i urządzić wodociąg długości sto mil angielskich (150 wiorst), prowadzący od jeziora do Manchester. Roboty wodociągu trwać mają lat siedm, a wydatki obrachowane na 1,700.000 funtów sterlingów.

═ Dwóch myśliwych, powracających wieczorem około godziny 8mej z polowania, przysiadło dla spoczynku na ławce. Za chwilę przysiadł się na ławce jakiś idący z miasta.

Po zamianie kilku wyrazów, prosił on o pokazanie fuzyi, którą jako znawca pragnął obejrzeć.

I stało się jak żądał, ale zaledwie dostał do ręki fuzyę, zerwał się nagle z ławki i... drapnął. A dzielnym był w nogach, — bo zaledwie pozostali za nim opatrzyli się, łotr zniknął im już z oczu...

═ Drugi międzynarodowy kongres metereologów odbędzie się w Rzymie w m. wrześniu r. b.

═ Czytamy w Kuryerze warszawskim. Wspominaliśmy już raz, że czas wojenny rodzi wynalazki skierowane ku celom wojennym. Oto znowu dziś oglądaliśmy nowy w tym kierunku wynalazek. Pan Aleksander Kwiatkowski młody ślusarz-mechanik okazywał nam udoskonalony przez siebie karabin, w którym szczególniej zamek odznacza się pomysłowością. Pozwala on w mgnieniu oka założyć nabój i wystrzelić z równą szybkością.

Nie mniejszą zaletą karabina p. Kwiatkowskiego jest to, że po otworzeniu, jednym ruchem ręki, zamka, dla założenia naboju, cała lufa jest na przestrzał otwartą i pozostaje wskutek tego wentylacye, która chłodzi lufę, lubo nie wiele, ale jednak tyle, że przed rozgrzaniem lufy kilka strzałów zyskać można.

Wynalazca utrzymuje, że jego karabin daje dwadzieścia kilka strzałów na minutę, co konstrukcya zamku zdaje się potwierdzać.

Od Redakcyi.

Prenumeratorowie **Tygodnia** życzący odbierać **Wystawę** codziennie, zechcą nadesłać po 50 c. na koszta przesyłki osobnej.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 2.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.